Miłość po szkocku. Podróż do Polski.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Polski krajobraz

Anna Habryn

Rozdział 5

Mary miała zaproszenie do Anglii, na wesele. Właśnie załatwiała sobie rezerwację biletu na pociąg, kiedy wpadło jej w oko: „Lot do Polski po obniżonej cenie”. A może by…? Czy starczyłoby jej odwagi? Problemy językowe skomplikują sprawę, poza tym siostra Jana, Seweryna, pisała, że wyjeżdża na wakacje nad Bałtyk, ale tak czy inaczej, Mary przecież miała w torebce jej numer telefonu!

Była świadoma, że jej zasób polskiego słownictwa nie wystarczy, żeby załatwić cokolwiek przez telefon, ale ten problem można było rozwiązać. W Kirkcaldy była duża grupa Polaków, a Jan był tam kiedyś dość znany i lubiany. Mary poszła więc do polskiego klubu w nadziei, że ktoś tam sobie jej ojca przypomni.

Wszystko tu wyglądało jak dawniej. Wróciły wspomnienia: zobaczyła oczyma wyobraźni Jana, młodego, wesołego mężczyznę przy karcianym stoliku, pijącego z innymi wiśniówkę. To był bardzo patriotyczny klub, bardzo polski. Na wysokim maszcie przed budynkiem powiewała – tak jak dawniej – polska flaga, na cementowym postumencie rozpościerał skrzydła Biały Orzeł. Pod pomnikiem generała Sikorskiego, jak przed laty i jak zawsze, stał w wazonie bukiet białych i czerwonych kwiatów.

Poszukała kierownika, przedstawiła mu się. Wyjaśniła, że chciałaby pojechać do Poznania, do ciotki, ale nie dogada się z nią przez telefon, chociaż ciotka zna jej głos, więc może on zechciałby porozmawiać w jej imieniu?

– Ależ to żaden problem, proszę pani.

– Oh, bardzo panu dziękuję – powiedziała.

Ta rozmowa telefoniczna była zabawna i bardzo kosztowna. Seweryna była w domu. Mary odezwała się pierwsza,

przedstawiła się, a potem oddała słuchawkę „tłumaczowi". Powtarzał jej głośno po angielsku, co po tamtej stronie mówiono po polsku, a wszyscy klienci baru słuchali tego z wielkim zainteresowaniem. Gospodarz brylował w roli tłumacza, błyszczał elokwencją i po jakichś dwudziestu minutach Mary wreszcie była pewna, że Seweryna przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Z Manchesteru miała lecieć do Amsterdamu, a potem do Warszawy.

Gorączkowo usiłowała nauczyć się trochę więcej polskiego. W każdej wolnej chwili wypisywała ze słownika polskie słówka i ich angielskie odpowiedniki.

Jej rodzina w Anglii uważała, że Mary zwariowała. Co będzie, jeśli wsiądzie do niewłaściwego samolotu? Czy będzie umiała zatelefonować? Im bardziej byli negatywnie nastawieni, tym bardziej Mary się utwierdzała w swoim postanowieniu. To była jej szansa sprawdzenia się.

Tak czy inaczej, było już za późno na wątpliwości, jej podróż do Warszawy była opłacona. (…)

.Dwie godziny przed odlotem, była naprawdę w drodze do Polski.

Mary siedziała blisko kabiny załogi. Samolot nie był pełny. Lot miał trwać trzy godziny, niedługa podróż. Wyjęła swój polski słownik i zaczęła wypisywać wszystkie te podstawowe słówka, których będzie musiała użyć: bilet, proszę, itp.

Stewardessa zapytała:

– Skąd pani pochodzi?

– Z Australii – odpowiedziała Mary – ale z urodzenia jestem Szkotką.

– O – ucieszyła się – nasz pilot jedzie do rodziny w Australii. Do Perth, czy pani tam była?

– Mieszkam tam.

Stewardessa zniknęła i wróciła z butelką szampana.

– Dziękuję – rzekła Mary – czy mogę ją zabrać do mojej ciotki w Poznania?

– Damy pani drugą. Kapitan chciałby z panią porozmawiać.

Czuła na sobie oczy wszystkich pasażerów, kiedy dziewczyna prowadziła ją do kabiny załogi. To było naprawdę podniecające.

(…)

Zniżali się do lądowania. Miała wylądować na polskiej ziemi!

Na prawo od skrzydła samolotu pojawił się napis: WARSZAWA. Pięknie czerwony i biały, wspaniały, aby widzieli go wszyscy wracający synowie Polski. Och, gdyby Jan mógł być tu razem z nią! Włożyła w patrzenie całe serce, musiała ten moment wchłonąć, żeby przekazać go staremu człowiekowi, jej ojcu, tam w Perth. (…)

W taksówce, była już sama. Przejechali Wisłę. Ulice wydawały się Mary podobne do Paryża, podobały jej się ozdobne budynki. Jakieś muzeum przypomniało jej Edynburg. Ludzie wyglądali na zdrowych i zabieganych. Młodzi ludzie, szczególnie nastolatki, byli na ogół jasnowłosi, dobrze zbudowani, a dziewczęta miały w sobie coś bardzo polskiego, cokolwiek to było, wyglądały inaczej niż Australijki czy Szkotki, były bardzo kobiece, pięknie opalone, o złotej skórze.

Dworzec kolejowy wydawał się tkwić w środku wielkiej przelotowej arterii. Mary zapłaciła kierowcy 30 złotych, co – pomyślała – było tanio, *cheap*, i udała się prosto na stację. Wszystko wydawało się takie proste. (…)

Pociąg był śliczny, czysty, wygodny, dla niepalących. “British

Railways, uczcie się od Polskich Kolei”. Jan mówił jej, że w Polsce mieli wspaniałe pociągi, ale – Boże, to było w 1938. “Widocznie pociągi są tu ważną rzeczą, skoro koleje dorównują ciągle wspomnieniom Jana.”

Czuła się trochę zmęczona, ale zdecydowanie nie zamierzała spać. Podano gorącą herbatę i kawę. Wybrała to drugie, a do tego polskie ciastko. Za darmo. Była naprawdę pod wrażeniem. (…)



Polski kajobraz

I oto nareszcie została cudownie pozostawiona sam na sam z krajobrazem. Mijali osobliwe miejsca, chłopi na polach czasem

podnosili spojrzenie na przejeżdżający pociąg. Trwały żniwa, koszono pola. Nie widziała wspaniałej żniwnej maszynerii, jaką mają farmerzy w Australii. Widziała natomiast konny zaprzęg i starego chłopa idącego za pługiem. Widziała traktory, ale na polach było dużo więcej ludzi w porównaniu do tego, co widzi się w Australii.

Pociąg zwolnił bieg, mijając jakąś bocznicę kolejową, pełną starych wagonów towarowych. Mary poczuła nagle, jakby się cofnęła w czasie o 50 lat. Gdzieś w jej pamięci tkwiło ciągle bardzo żywe dziecięce wspomnienie Polski z wojennych kronik filmowych. Były tam właśnie wagony, stare wagony o drewnianych ścianach, takie jak te, ciągle jeszcze tkwiące na jakichś bocznych torach. W jej pamięci uwoziły one ze stukotem ludzki ładunek, trzymany przemocą, uwięziony w skrzyniach na kołach. Ich przeznaczeniem było piekło. Wyobraźnia – raz pobudzona – nie dawała Mary spokoju. Patrzyła przez szybę jak urzeczona. Nie śniła, czuła w przestrzeni za oknem duchy unicestwionych ludzi, ciągle nie mogące spocząć, błąkające się dookoła. Widmowo przepływały za oknem wioski budzone w środku nocy, czuła ich strach, brzmiało echem wołanie o pomoc, którego nie chciano słyszeć. Pięć długich lat podporządkowanych "diabłom z Niemiec". Te myśli ciągnęły się, kilometr za kilometrem. Ta ziemia była tak płaska, tak łatwo dostępna dla czołgów, ciężarówek, nawet rowerów. Warszawa była dokładnie na drodze na wschód, w prostej linii od Berlina.

Chyba usnęła. Obudziła się, kiedy dojeżdżali do Poznania. Teraz domy były podobne do przedmieść Paryża lub Szkocji. Widziała stare kamienne budynki, domki dla robotników, które wytrzymały próbę czasu. Nowe trafiały się rzadko, ale można je było łatwo rozpoznać po kolorowych dachówkach.

Pasażerowie zaczynali się ruszać. Młody człowiek zaoferował się, że poleci taksówkarzowi jechać pod adres, który Mary trzymała mocno zaciśnięty w ręce. Kiedy schodzili na peron, jego śliczna dziewczyna już czekała. Objęli się, jak to czynią zakochani, a Mary zatrzymała się z tyłu, żeby nie przeszkadzać im w tej ich chwili miłości. Młody człowiek uwolnił się z uścisku i powiedział:

– Ta pani jest Australijką.

Dziewczyna potrząsnęła ręką Mary i zarzuciła ją pytaniami, a jej chłopak z twarzą zarumienioną z emocji, nie mógł się doczekać, żeby wsadzić Mary do taksówki. Pomachała do nich ręką przez tylną szybę:

“Żegnajcie, młodzi kochankowie, Bóg z wami, wolni żeby kochać, wolni żeby żyć.”

Rozdział 6 ukaże się w poniedziałek 8 maja 2017 r.

Ścieżki nauki, ścieżki historii

Józef Lityński (1928-2013) był geofizykiem, klimatologiem, profesorem Universite du Quebec a Trois-Rivieres, działaczem polonijnym, wieloletnim prezesem Instytutu Naukowego w Kanadzie. Rozmowa odbyła się w Montrealu w 2004 roku.



Józef Lityński w swoim domu w Montrealu, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jest pan prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Mieszka pan w Montrealu, gdzie mieści się centrala, ale musi pan czuwać nad czterema oddziałami, nie tylko w Montrealu, ale i w Ottawie, Toronto i Vancouver. Instytut działa więc w całej Kanadzie, bo tak na wschodnim, jak i na zachodnim wybrzeżu.

Józef Lityński: Teoretycznie działamy w całej Kanadzie, choć z Vancouver kontakty są utrudnione, ze względu na odległość. Z Ottawą mamy dobry kontakt. Natomiast z Toronto przez wiele lat dobrze nam się współpracowało, no ale ostatnio działalność oddziału osłabła i jesteśmy w trakcie jej uaktywniania. Dwa lata temu byłem też w Halifaxie, z nadzieją na otworzenie tam oddziału Instytutu. Przyjęty zostałem entuzjastycznie, na spotkanie przyszło ok. 40 osób, byłem więc przekonany, że oddział będzie aktywny. No, ale niestety nic z tego nie wyszło. Mimo że Halifax leży na wschodnim wybrzeżu, ale widać to też daleko.

JSG: Na czym w tej chwili polega działalność Instytutu?

JL: Główną naszą działalnością jest prowadzenie Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachiewicz w Montrealu. Poza tym, mniej więcej 3-4 razy do roku, organizujemy odczyty na różne tematy. Parę lat temu były to głównie tematy historyczne, a teraz w ramach Koła Naukowego wypowiadają się też biolodzy, lekarze, ja miałem odczyt na temat klimatu itd. W Montrealu mamy wielu polskich biologów. To jest tradycja zapoczątkowana przez jednego z członków-założycieli Instytutu, prof. W. G. Penfielda z Uniwersytetu McGill. Poza tym Instytut bierze udział w wielu akcjach, np. w programie, skierowanym do młodzieży polskiego pochodzenia z Kanady i USA „Polska w Górach Skalistych”. Co roku uczestniczymy w organizowaniu Uniwersytetu Letniego

Kultury Polskiej w Rzymie. Wysyłamy tam zarówno uczestników, jak i wykładowców. Ja też miałem tam kiedyś cykl trzech wykładów historycznych. Mimo, że historia nie jest moją specjalnością zawodową, bardzo się nią interesowałem i interesuję nadal. W Montrealu, miałem cykl wykładów, trwający ok. 2 lata, na temat najnowszej historii Polski. O dziwo, cieszyły się dużą frekwencją, ludzie przychodzili regularnie, a ja na przygotowanie tych odczytów, poświęcałem więcej czasu, niż na przygotowanie wykładów uniwersyteckich. (…)

JSG: Polski Instytut Naukowy w Kanadzie powstał jeszcze podczas wojny z inicjatywy polskich intelektualistów.

JL: PIN powstał w październiku 1943. Początkowo był filią Instytutu amerykańskiego, który został rok wcześniej zorganizowany przez polskich emigrantów przybyłych do Ameryki zaraz po wybuchu wojny. Część z nich przyjeżdżała też do Kanady, niektórzy wykładali na Uniwersytecie McGill, jak np. światowej sławy historyk profesor Oskar Halecki. W Montrealu również mieszkała duża grupa polskich uczonych, artystów, intelektualistów. Profesor Halecki i kilku jego współpracowników doszli więc do wniosku, że warto założyć kanadyjską filię tego instytutu. Dużą rolę w tworzeniu Instytutu odegrał wspomniany już neurolog prof. W. G. Penfield. Uczeni ci w większości byli członkami Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, nawet Kanadyjczyk, prof. Penfield. Dzięki wstawiennictwu tych osób,

Instytut dostał lokal na Uniwersytecie McGill, skromniejszy niż mamy dziś, ale dobry na początek. Dzisiaj mamy do dyspozycji cały dom przy ulicy Peel, czyli w centrum Montrealu, przy uniwersytecie, i co jest bardzo ważne, jest to lokal darmowy.



Biblioteka powstała dzięki inicjatywie pani Wandy Stachiewicz, żony byłego szefa sztabu Armii Polskiej z 1939 roku, Wacława Stachiewicza. Generał Stachiewicz był internowany w Algierii czy w Maroku, i dopiero chyba w 1944 roku został zwolniony i wyjechał do Anglii. Jednak do wojska go nie wzięto, mimo że zaoferował swój udział w walce nawet jako szeregowiec. Pani Stachiewiczowa znalazła się w Kanadzie zaraz na początku wojny, tak jak i wiele innych rodzin, które zostały tu przysłane z Anglii. Jej mąż przyjechał jakiś czas po wojnie. Po przyjeździe czynnie włączył się w prace Instytutu. Biblioteką zaś cały czas zajmowała się pani Wanda, kobieta niespożytej energii. To dzięki niej biblioteka tak się rozwinęła, że dziś jest największą polską biblioteką na tym kontynencie. A my staramy się, żeby tak zostało. (…)

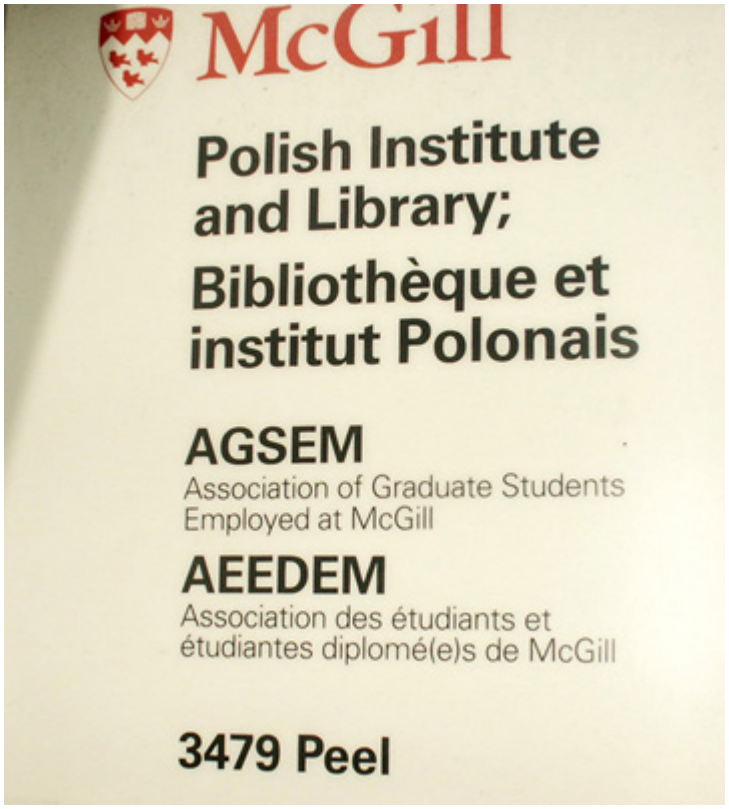
JSG: Odejdźmy na chwilę od Polski, jej historii i kultury.

Osiągnięcia w różnych dziedzinach nauk zdobywane przez Polaków, ich wkład w naukę światową, popularyzują imię Polski. Pana dziedzina, klimatologia, ma stały wpływ na życie wszystkich mieszkańców ziemi. Wykładał pan przez szereg lat na Universite du Quebec a Trois-Rivieres, prowadził pan badania na północy Kanady, na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce. Zapytam więc się pana o zagadnienie z dziedziny, w której jest pan specjalistą. Czy klimat na ziemi się oziębia, czy ociepla?

JL: Z meteorologią, jest jak z medycyną, nie ma nic pewnego, ale jest dużo argumentów, które przemawiają za ochładzaniem się klimatu. Prognozy globalnego ocieplenia powstają tylko na podstawie wyników, które się otrzymuje testując modele. Modelując cyrkulację atmosferyczną i oceaniczną, oblicza się, co będzie za rok, za 10 czy za 100 lat. Lecz jeśli model wykonany jest na podstawie dzisiejszej wiedzy, to użyty do prognozy za 10 lat jest mniej dokładny, a za 100 lat już bardzo niepewny. Tak więc, prognozy, które mówiły, że już powinno nastąpić ocieplenie, nie sprawdzają się, bo ocieplenia nie ma. Po przejściowym ociepleniu z kulminacją w 1998 roku, klimat się wyraźnie ochładza. Tak samo nie znajdują potwierdzenia prognozy, mówiące o tym, że najszybciej klimat będzie się ocieplał w obszarach podbiegunowych, dlatego, że dane dotyczące lodowców, nie są skorelowane z temperaturą. Np. w okresie tzw. małej epoki lodowcowej (od ok. 1550 do 1750 r.n.e.), na podstawie opisów wypraw na wody północne

stwierdzono, że lodów było mniej niż w poprzednich epokach. Dopiero potem ilość lodów się zwiększyła. Tak więc zjawiska lodowe pojawiają się z pewnym opóźnieniem w stosunku do temperatury. Jeśli stwierdzono, że pokrywa lodowa Arktyki jest cieńsza, to nie świadczy to o globalnym ociepleniu, bo ten fakt nic nie mówi, ani o temperaturze, ani o tendencjach. Ja zrobiłem dość dokładne studium temperatury wszystkich kontynentów. Wyraźnie z niego wynika tendencja ujemna, a nie dodatnia. Na Arktyce, temperatura owszem podniosła się w latach 50., ale potem opadła. Na kanadyjskich stacjach arktycznych, przez dwa kolejne lata 1998-99 temperatura nagle wzrosła o 4 stopnie. Wtedy zwolennicy globalnego ocieplenia krzyczeli – tak, już mamy ocieplenie. No, ale w kolejnych dwóch latach temperatura spadła, też o 4 stopnie.

JSG: Jakie mogą być konsekwencje dla życia na ziemi, jeśli klimat się znacznie oziębi?



JL: Przed paroma miesiącami opublikowana została tzw. prognoza klimatyczna dla Pentagonu. Amerykanie jej nie ujawniali, ze względu na możliwą panikę. Ale dziennikarze ją odkryli i opublikowali w którymś z angielskich pism. Ta prognoza jest katastroficzna. Według niej w ciągu najbliższych lat ma znacznie spaść temperatura, a w wyniku tego zaczną tworzyć się lodowce. Oczywiście konsekwencje takiej zmiany klimatu byłyby dramatyczne. Ludzie zaczęliby umierać z głodu, bo ziemia, która teraz ma nadprodukcję żywności, nagle nie rodziłaby tyle, ile trzeba. Ja jednak uważam, że kierunek prognozy jest właściwy, natomiast nie sądzę, aby to ochłodzenie nastąpiło tak nagle. Ono może być dość nagłe dla Skandynawii, gdyż tam temperatura jest wyższa o ok. 15 stopni, w stosunku do temperatury na tej samej szerokości geograficznej np. W Kanadzie, ze względu na Golfstrom. Prąd ten niesie nieprawdopodobne ilości energii z obszarów tropikalnych do obszarów północnych. W przypadku, gdyby uległ on zmniejszeniu, Skandynawia by to bardzo odczuła. No i oczywiście odbiłoby się to na całej Europie. Gdyby Golfstrom się

zatrzymał, w Skandynawii temperatura od razu spadnie o 5 stopni, natomiast w pozostałej Europie, o 2-3 stopnie. To wystarczy, aby na Półwyspie Skandynawskim zaczęły tworzyć się lodowce, a w reszcie Europy zima była dużo surowsza i dużo dłuższa.

JSG: Ale mówił pan, że według pana taka prognoza nie nastąpi zbyt szybko.

JL: Uważam, że nie może być tak, że pewnego dnia nagle zrobi się zimno. Chociaż są klimatolodzy, którzy tak twierdzą. Wszystkie zjawiska meteorologiczne i klimatologiczne są fluktuacjami. W naturze prawie wszędzie są ujemne sprzężenia zwrotne. To znaczy, że jeśli jakieś zjawisko wychyla się w jedną stronę, to natychmiast są uruchamiane mechanizmy, które je ściągają z powrotem. Jest tylko kilka zjawisk, w których występują sprzężenia dodatnie, ja je nazywam katastroficznymi, gdyż jeśli się utrzymują, muszą prowadzić do katastrofy. Są to np. reakcje jądrowe. W klimatologii zidentyfikowałem trzy sprzężenia katastroficzne. Jest to temperatura i dwutlenek węgla, temperatura i para wodna oraz temperatura i tzw. albedo – czyli zdolność odbijania promieni słonecznych przy powierzchni ziemi. I tak np. jeśli zwiększy się ilość dwutlenku węgla i temperatura nieznacznie wzrośnie, to produkcja dwutlenku węgla wzrasta. Mogłoby więc dojść do katastrofy. Ale nie dochodzi. To samo jest z parą wodną, czy albedo. Tylko na

pewnym odcinku sprzężenia zwrotne są pozytywne, później się kończą. Zwolennicy globalnego ocieplenia nie chcą uznać, że dwutlenek węgla powoduje ocieplenie tylko do pewnej granicy, a później sprzężenie niknie. Bo gdyby było inaczej, to dawno byśmy mieli katastrofę klimatyczną na ziemi. Widać są jakieś powody, które zatrzymują to zjawisko. W artykule, który właśnie wysłałem do Polski do publikacji, wykazuję, że dwutlenek węgla nie będzie tak się zwiększał, gdyż pochłanianie dwutlenku węgla przez system naturalny, tzn. roślinność i plankton z oceanach, jest proporcjonalne do ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Aby więc podwoić ilość dwutlenku węgla (tak jak zwolennicy ocieplenia wykazują na modelach i mówią, że w ciągu 20 lat to nastąpi), musielibyśmy produkować 28 razy więcej dwutlenku węgla.

JSG: Na czym polegały badania, które przeprowadzał pan na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce...

JL: Na Madagaskarze brałem udział w programie Światowej Organizacji Meteorologicznej ochrony przed cyklonami. Spotykane tam depresje tropikalne wyrządzają wielkie szkody. Rocznie pojawia się na tym terenie średnio siedem cyklonów tropikalnych. Najwięcej jest ich na wschodnim wybrzeżu, gdyż z reguły przychodzą znad Oceanu Indyjskiego. Światowa Organizacja Meteorologiczna, na prośbę służby meteorologicznej z Madagaskaru, dała fundusze i wysłała ekspertów, aby

zorganizowali ochronę przeciwko cyklonom. Ja nie jestem specjalistą od cyklonów, pojechałem jako klimatolog. W ramach tego projektu zostały wybudowane trzy stacje radarowe, postawiono japońskie radary, które określały miejsce i siłę cyklonu. Dawało to czas na ostrzeżenie odpowiednich służb. Radary prezentowały się bardzo pięknie i początkowe prace wskazywały na dobre ich funkcjonowanie. No, ale specjaliści japońscy wyjechali, radary zaczęły się psuć i nie było nikogo, kto by potrafił je naprawić. Pracował wówczas z nami świetny amerykański specjalista. Na podstawie zdjęć satelitarnych potrafił powiedzieć, w którym miejscu powstaje cyklon, mimo, że jeszcze go tam nie było. Miejsce na zdjęciu, które wskazywał, było mniejsze niż łepek od szpilki. On nie tylko widział tworzenie się cyklonu, ale potrafił też określić siłę, z jaką cyklon przyjdzie. Tak więc automatyzacja w obserwacjach meteorologicznych jest bardzo dobra, ale musi być połączona z obsługą, która jest do dyspozycji w każdej chwili. Maszyna może pomóc, ale nie wyeliminuje człowieka.

JSG: Mówił pan o Polakach, którzy tworzyli Instytut. A jak pan się znalazł w Kanadzie?

JL: Wyjechałem najpierw do stryja, który mieszkał w Kalifornii. Oficjalnie wyjechałem z Polski na wakacje. Pracowałem wówczas na Politechnice Warszawskiej. Był to okres po wydarzeniach 1968 roku, na uczelniach w Polsce panowała bardzo zła

atmosfera, zaczynały się represje. Pomyślałem więc, że jeśli uda mi się dostać paszport, to wyjadę. Jeżeli Sowieci zajmą Czechosłowację, zostanę za granicą, a jeśli nie, wrócę do Polski. Miałem wówczas 39 lat i nie chciałem się jeszcze jakieś 20 lat borykać, żeby w życiu coś osiągnąć. Wydawało mi się też, że za granicą można więcej zrobić dla Polski. Wtedy ważne było propagowanie na zachodzie idei niepodległej Polski. Natomiast w Polsce można było oczywiście pracować i to było bardzo potrzebne dla kraju, ale działalność polityczna nie była możliwa.

Po kilku miesiącach pobytu u stryja w San Raphael, zacząłem myśleć o wyjeździe do Kanady. Mimo że stryj pięknie mieszkał, ale ja źle się tam czułem, zapewne ze względu na język, bo mój angielski był słaby, natomiast dobrze mówiłem po francusku, gdyż pracowałem wcześniej przez 2 lata w Kongo Belgijskim. Nawiązałem więc kontakt z Uniwersytetami w Quebecu i dostałem zaproszenie na interview z Uniwersytetu Laval w mieście Quebec. Mimo że przyjazd do Kanady nie był taki prosty, gdyż nie chciano mi dać wizy kanadyjskiej, przez znajomych postarałem się o zaproszenie i dostałem wizę turystyczną. W międzyczasie Rosjanie zajęli Czechosłowację, zdecydowałem się więc na pozostanie za granicą. Przyjechałem do Kanady pod koniec listopada. Był to akurat taki rok, w którym zima bardzo wcześnie się zaczęła. W Quebecu leżała już stopa śniegu. – Do ładnego kraju przyjeżdżam – pomyślałem. Ale ja zimę bardzo lubię. Zawsze czekałem, żeby w Polsce były takie

śniegi, jak to opisywano w książkach, z wykopanymi tunelami i przejściami. W Polsce nigdy takiej zimy nie widziałem, więc bardzo mi się spodobało. Wtedy można było stosunkowo łatwo na stałe zostać w Kanadzie. Były to złote czasy dla emigrantów. Szybko dostałem prawo pobytu i pozwolenie na pracę, a w ciągu dwóch tygodni otrzymałem pierwsze kanadyjskie zatrudnienie – *post doctoral* na uniwersytecie Laval, na wydziale geografii. Nie jestem geografem, tylko fizykiem, magisterium zrobiłem z geofizyki, a doktorat z meteorologii i klimatologii. Geografowie mają chyba trochę kompleksów na punkcie fizyków czy matematyków, więc byli szczęśliwi, że jakiś fizyk chce u nich pracować. No, a dla mnie był to nie tylko zaszczyt, ale i możliwość normalnego życia.



Universite du Quebec a Trois-Rivieres.

Otrzymałem kontrakt tylko na dziewięć miesięcy, do końca września. Na cale lato, od końca maja, aż do połowy sierpnia uniwersytet mnie wysłał na daleką północ Kanady, by tam prowadzić prace badawcze. To było wspaniałe, niesamowite przeżycie, tam jest na prawdę pięknie, mimo much i komarów. Zorganizowałem tam sieć lokalnych stacji meteorologicznych. Czas jednak leciał, mój kontrakt zbliżał się do końca. Jeszcze przed wyjazdem wysłałem listy ze swoją ofertą na inne uniwersytety. W połowie lipca dostałem list z Uniwersytetu w Trois-Rivieres. Był to właśnie powstający uniwersytet, pierwsze wykłady miały się zacząć we wrześniu. Miałem szczęście, bo powstawało wówczas od razu kilka filii, w sumie potrzebowali więc ok. 1000 profesorów. Zaproponowali mi pracę na wydziale geografii. Napisali, że miałbym wykładać klimatologię i... pedologię. Ta pedologia mnie przestraszyła, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Ale doszedłem do wniosku, że jeżeli będę mieć wątpliwości to zrezygnują z mojej kandydatury, więc odpisałem, że chętnie podejmę się tej pracy. W końcu i pedologii można się nauczyć.

Teraz wiem, że to jest nauka o glebie. W liście podałem, że mogę przyjechać na interview, ale tylko w określony dzień tygodnia, w środę bodajże, gdyż z dalekiej północy samolot kursował raz na tydzień. Dostałem odpowiedź, że rezygnują z interview i angażują mnie do pracy. Ponieważ mój kontrakt na Laval jeszcze obejmował wrzesień, więc przez miesiąc pracowałem na dwóch

uniwersytetach. I tak się zaczęła moja kariera uniwersytecka. Na wydziale geografii na tym uniwersytecie pracowałem aż do emerytury, czyli do lata 1993 roku. Będąc już na emeryturze jeszcze przez dziewięć lat, prowadziłem wykłady zlecone z klimatologii. W ciągu pracy na uniwersytecie, miałem jeden roczny urlop bezpłatny, kiedy pracowałem dla Światowej Organizacji Meteorologicznej na Madagaskarze. A potem miałem jeszcze dwa razy rok sabatowy, pierwszy rok spędziłem we Francji i wykładałem na uniwersytecie w Aix-en-Provance, a drugi rok – w Polinezji, w Nowej Kaledonii, gdzie prowadziłem badania meteorologiczne.

JSG: Jaką uczelnię skończył pan w Polsce, skoro przygotowała pana do takiej kariery uniwersyteckiej?

JL: Zaczynałem we Wrocławiu. Pierwsze dwa lata zaliczyłem na uczelni, która się wtedy nazywała Uniwersytet i Politechnika Wrocławska (zanim jeszcze nadali jej straszną nazwę im. Bieruta). Ale jestem warszawiakiem. Z Warszawy wyjechałem tylko dlatego, że się nie mogłem dostać na studia, bo byłem „wrogiem ludu". A byłem wielkim wrogiem ludu, gdyż mój ojciec był przed wojną pułkownikiem, i co gorsze, został za granicą. Tak więc byłem na czarnej liście i nie dostałem się, pomimo że egzaminy na Politechnikę Warszawską zdałem bardzo dobrze. Jak to przypadek czasami zmienia losy człowieka. Gdybym się dostał, byłbym inżynierem elektronikiem, bo elektronika była

moim głównym zamiłowaniem, a ponieważ nie mogłem się dostać, spróbowałem na fizykę we Wrocławiu i tam się dostałem.

Po studiach pracowałem jakiś czas w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-Meteorologicznym w Warszawie. Następnie związałem się z Instytutem Matematyki na Politechnice Warszawskiej, najpierw jako asystent, potem wykładowca.

JSG: Czy mógłby pan opowiedzieć o swoim ojcu, pułkowniku, z powodu którego był pan „wrogiem ludu”?

JL: Przed wojną mój ojciec był dowódcą pułku, stacjonującego w Nowej Wilejce, która należała wówczas do Polski. Stacjonowały tam trzy pułki – 85 pułk strzelców wileńskich, 13 pułk kawalerii i 19 pułk artylerii. Był to jeden z większych ośrodków wojskowych w przedwojennej Polsce. Miasteczko było małe, ale koszary, oddalone o jakieś 3 km, stanowiły duży kompleks. Ja się urodziłem się w Warszawie, ale mój młodszy brat urodził się w Nowej Wilejce i to akurat w dzień święta pułkowego. Odbyła się wtedy wielka była uroczystość, syn dowódcy, dostał pamiątkowy dyplom itd.



Sztandar V Dywizji Kresowej.

Potem mój ojciec był szefem sztabu Armii Poznań w 1939 roku i z tą Armią przeszedł kampanię wrześniową. Po walce nad Bzurą część armii przebiła się do Warszawy. W ostatnim tygodniu obrony Warszawy ojciec był w stolicy, a po kapitulacji dostał się do niewoli, do obozu dla oficerów w Murnau w Bawarii. Kiedy 30 kwietnia 1945 roku Amerykanie wyzwolili ten olbrzymi obóz (7 tysięcy oficerów, głównie Polacy z kampanii wrześniowej), zorganizowali transport do Włoch i większość z nich została wcielona do II Korpusu gen. Andersa. Mój ojciec został mianowany zastępcą V Dywizji Kresowej i aż do ewakuacji do Wlk. Brytanii przebywał we Włoszech. Po przyjeździe do Anglii został kierownikiem wydziału w biurze historycznym.

Początkowo biuro mieściło się przy polskim dowództwie, a gdy dowództwo zostało rozwiązane, stało się jednostką samodzielną, a pracujący tam ludzie opłacani byli ze skarbu narodowego, czyli przez rząd londyński. Ojciec prowadził referat, który opracowywał historię udziału polskich sił zbrojnych w II wojnie światowej, a w szczególności opracowywał kampanię wrześniową. Praca „Polskie siły zbrojne w II wojnie światowej", była wydana pod redakcją mojego ojca.

Ja ojca zobaczyłem dopiero w 1957 roku, rok przed jego śmiercią. Udało mi się wyjechać na zachód po październiku 1956 roku. Dostałem wówczas po raz pierwszy paszport i na dwa miesiące pojechałem do ojca do Anglii. Mogłem wtedy zostać, ojciec mi powiedział – ja cię nie namawiam do zostania, bo tam w Polsce ludzie są potrzebni, ale jeśli byś się kiedyś zdecydował, to ja ci tutaj pomogę.

JSG: I po tym pobycie u ojca w Anglii, pan się jednak zdecydował wrócić do Polski?

JL: Wtedy zdecydowałem się na powrót. Po październiku 1956 panowała taka euforia, wydawało się, że jednak da się coś w tej Polsce zrobić. Ojciec chciał wrócić do Polski, ale zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. Było mu jednak ciężko. Ja i mój brat byliśmy w Polsce, nasza matka zmarła podczas Powstania Warszawskiego. Ale ojciec cały czas miał wyrzuty sumienia, że

nie wrócił do Polski. Gdy spotkaliśmy się na dworcu Victoria w Londynie, pierwsze o co zapytał to – czy uważasz, że dobrze zrobiłem? Ja na to – pewnie, przecież byś zrobił największe głupstwo jakie można zrobić, wiesz dobrze, co się stało z innymi. Płk. Białkowski mimo, że wyszedł żywy z więzienia, był w taki stanie, że na wolności żył tylko dwa miesiące, a płk. Minakowski, nasz sąsiad, który służył w lotnictwie i był ewakuowany na zachód, po powrocie został rozstrzelany. I wielu innych kolegów mojego ojca spotkało to samo.

JSG: Czy pana stryj, do którego pan przyjechał do Kalifornii, też był oficerem?

JL: Stryj był oficerem rezerwy artylerii konnej. Przed wojną pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W sierpniu 1939 roku wyjechaliśmy ze stryjem pod Stanisławów, odwiedzić babcię, która miała tam majątek. Mimo, że trwały ostatnie przygotowania do wojny, ojciec powiedział stryjowi, że to może być ostatnia okazja, żeby zobaczyć matkę. Obiecał, że w razie gdyby już coś wiedział, przyśle telegram. Było wtedy pięknie, ciepłe, wspaniałe lato. Wybieraliśmy się na wędrówkę w góry. Bardzo się cieszyłem, była to dla mnie, 10-letniego wówczas chłopca, wielka atrakcja. Nigdy wcześniej nie brałem udziału w takiej turystycznej eskapadzie. Wycieczka planowana była na niedzielę.

I akurat w tą niedzielę przyszedł telegram od mojego ojca – przyjeżdżaj natychmiast. Telegram był wysłany 26 rano, gdyż 25 Niemcy zdecydowali, że uderzą na Polskę, właśnie 26 o 5 rano. Wszystkie rozkazy były już wydane. I polski wywiad się o tym dowiedział. Jednak Hitler zdecydował się odwołać atak, gdyż o 5 po południu otrzymał trzy, bardzo niekorzystne dla niego wiadomości. Po pierwsze wywiad niemiecki doniósł, że trzy czwarte armii polskiej jest już zmobilizowanej. A Niemcy mieli zmobilizowanych dopiero połowę sil. Hitler myślał, że to wystarczy, bo polska mobilizacja będzie w lesie. Jednak mobilizacja polskiej armii, wbrew temu, co się powszechnie uważa, przebiegała bardzo sprawnie. Armia polska miała plan operacyjny, który pozwalał na zmobilizowanie trzech czwartych wszystkich sił polskich, przy pomocy tzw. mobilizacji kartkowej. Rezerwiści dostawali powołania imiennie przez pocztę. To było o tyle ważne, bo ogłaszanie mobilizacji powszechnej mogło być potraktowane tak jak wypowiedzenie wojny.

Natomiast mobilizacja kartkowa mogła być robiona w każdej chwili i bez żadnego ryzyka politycznego. To była olbrzymia praca, ale dzięki niej mobilizacja rozpoczęła się już w marcu i była przeprowadzana partiami, a od 1 sierpnia przebiegała już na dużą skalę. Oprócz tej wiadomości, Hitler otrzymał jeszcze inne złe wiadomości. Mussolini przysłał telegram, że Włochy na początku pozostaną neutralne, bo są nieprzygotowane do wojny. No i trzecia wiadomość, najgorsza, że 25 sierpnia został

podpisany sojusz polsko-angielski. Była to pierwsza bezwarunkowa gwarancja, której królestwo brytyjskie kiedykolwiek udzieliło.

Tak więc Hitler się zastanawiał, czy w ogóle uderzać. Przez 6 dni obserwował zachodnich aliantów, ale już po 4 dniach zdecydował na uderzenie i wydał nowy rozkaz. Zobaczył, że alianci, zamiast ostro przygotowywać się do wojny, próbują problem rozwiązać politycznie, nawet kosztem ustępstw strony polskiej.

JSG: Czyli po telegramie pana stryj przyjechał do Polski.

JL: Natychmiast wróciliśmy do Warszawy. Stryj zgłosił się do wojska i został z powrotem skierowany do Stanisławowa, bo tam stacjonował jego pułk artylerii konnej. Potem stryj był w Anglii, w tzw. I Korpusie, który się formował w Szkocji. Z tego korpusu została zabrana I Dywizja Pancerna, która poszła walczyć na kontynent, natomiast dwie dywizje piechoty, które były formowane, ale ich tworzenie nie zostało ukończone, nie poszły na front. Te siły zapasowe były najpierw w Szkocji, potem w Anglii. Dołączył do nich II Korpus, który wrócił z Włoch. Przyszedł z nim mój ojciec. Stryj mieszkał w Anglii jeszcze kilka lat. Jak ja przyjechałem w 1957 roku, to już stryja nie było. Wyjechał najpierw do Nowego Jorku, a potem z żoną i córką przenieśli się do Kalifornii. Tak więc po latach, ja tam dojechałem i spędziłem z nimi piękne chwile. Na swoją drugą

ojczyznę wybrałem jednak Kanadę i mieszkam tu do dziś.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym" dodatku kulturalnym „Gazety" pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

„Zwiać za wszelką cenę" Jarosława Molendy: Dlaczego uciekali z PRL-u?

Barbara Lekarczyk-Cisek

Jarosław Molenda i jego publikacje, fot. Sławomir

Ryfczyński.

Pasjonujące historie, skłaniające do refleksji nad meandrami ludzkiego losu, nie tylko w czasach PRL-u.

Książka **Jarosława Molendy**: „Zwiać za wszelką cenę. Słynni uciekinierzy i emigranci z PRL" zawiera dziewięć biografii, z których każda jest właściwie materiałem na książkę. Historie bohaterów różnią się od siebie niekiedy diametralnie, inne są także ich motywy i losy w tzw. wolnym świecie. Autor przegląda uważnie rozmaite źródła, aby oddać możliwie najrzetelniej cechy ich osobowości, zrozumieć, dlaczego właśnie oni i w jakich okolicznościach dokonali wyboru, a wreszcie – jak potoczyły się potem ich losy. Nie zawsze udaje mu się to rozwikłać i bywa, że pozostajemy z uczuciem niedosytu, ale nie jest to przecież żadną wadą. Przeciwnie, staje się zachętą do przemyśleń.

Jarosław Molenda próbuje we wstępie dociekać, jakie są mechanizmy łączące te wszystkie ucieczki. Dochodzi jednak do wniosku, że osoby te nie łączy zgoła nic, tak są różne.

Ważniejsze są warunki duchowe pracy artystów przebywających poza ich macierzystym krajem – konkluduje autor – *ale i tu nie istnieją reguły obowiązujące wszystkich emigrantów. Jedni giną*

na wygnaniu, inni znajdują tam dobre warunki dla swojej pracy.

Potwierdzałby to casus **Marka Hłaski**, który na emigracji się nie odnalazł, w przeciwieństwie do **Jerzego Panufnika**, którego kariera rozkwitła, choć i on nie czuł się w nowych warunkach komfortowo.

Pierwszą uciekinierką, której pozostanie na Zachodzie odbiło się szerokim echem, była baletnica Mazowsza – **Krystyna Bujnowska**. Stało się to podczas pobytu zespołu w Paryżu i wcale nie było takie łatwe, zważywszy, że młodzi artyści mieli zawsze opiekunów ze służby bezpieczeństwa. Krążyły nawet na ten temat przeróżne żarty, jak choćby ten o skrzypku, który marzył o zagraniu na Stradivariusie i tłumaczył swemu „stróżowi", że to przeżycie podobne do tego, gdyby pozwolono mu wystrzelić z rewolweru Dzierżyńskiego. Bujnowska szczęśliwie nie musiała nic tłumaczyć – po prostu nikt jej o to nie podejrzewał. Udzieliła też wywiadu dla Radia Wolna Europa, którego można dziś posłuchać bez zagłuszania i w którym wyraża radość z powodu nagłej sławy (jej fotografie ukazały się we francuskich gazetach) i w ogóle jest zachwycona.

Krystyna Bujnowska nie miała w Polsce żadnej rodziny, tym bardziej więc pragnęła połączyć się z mieszkającą w Stanach Zjednoczonych ciotką. Wyszła za mąż za Polaka i oboje podtrzymywali polskie tradycje, m.in. ucząc dzieci języka

polskiego. Niestety, autorowi książki nie udało się dotrzeć do rodziny, nie wiadomo więc, jakie były dalsze losy pierwszej uciekinierki. Wiadomo natomiast, że dzięki niej zrobił się medialny szum wokół zespołu Mazowsze i widzowie gęsto wypełnili widownię. Jak się nietrudno domyślić, nikt tego nie rozumiał i nie docenił, przeciwnie – dziewczyna została napiętnowana przez członków zespołu, nie wspominając już o komunistycznych władzach. Ale i tak nie była ostatnią, która odważyła się na taki krok, bo był do krok w stronę wolności.



Najbardziej tajemniczym uciekinierem na Zachód był – i nadal takim pozostał – **Józef Światło**, pułkownik UB, którego opowieści o zbrodniach reżimu, mimo że sam brał udział w zbrodniczym systemie, wpłynęły znacząco na bieg historii. Audycje radiowe, w których podawał wiele skrywanych dotąd faktów, przyczyniły się bowiem do zmian szeregach partyjnej elity (uwolniono m.in. Władysława Gomułkę i innych aresztowanych), ale przede

wszystkim – wypuszczono wreszcie polskich żołnierzy przetrzymywanych w ZSRR. Dlaczego Światło uciekł i zeznawał – nie wiadomo tego do dziś. Istnieją hipotezy, że był agentem Moskwy i został wysłany za Zachód po to, aby przyśpieszyć zmiany, które nastąpiły po śmierci Stalina. Nie wiadomo także, co działo się ze Światłą potem. Prawdopodobnie, podobnie jak Ryszard Kukliński, otrzymał nową tożsamość, zacierano wszelkie prowadzące do niego ślady i mylono tropy. Dopiero w 2008 roku IPN wystąpił do USA o odtajnienie dokumentów CIA, gdyż rozpoczęło się przeciwko Światle postępowanie. Jak się bowiem okazało, przyczynił się on do aresztowania ok. 150 członków AK, których potem torturowano, zabijano lub wysłano do łagrów. Jednak w odpowiedzi uzyskano tylko lakoniczną informację, że Józef Światło zmarł 2 września 1994 roku w Stanach Zjednoczonych. Kolejne pisma pozostały bez odpowiedzi. Pozostaje mieć nadzieję, że zarówno w tej, jak i innych sprawach odpowiedzi należy szukać w archiwach NKWD…

Książka Jarosława Molendy o uciekinierach z PRL jest rzetelną, choć nie pierwszą publikacją na ten temat. Znajdziemy w niej – oprócz wspomnianych – także biografie Piotra i Mieczysława Ejsmontów, Stefana Korbońskiego, Władysława Kozakiewicza, Stanisława Mikołajczyka, Andrzeja Panufnika i Tadeusza Teodorowicza. Pasjonujące historie, skłaniające do refleksji nad meandrami ludzkiego losu, nie tylko w czasach PRL-u. Może

tylko tytuł publikacji niezbyt fortunny, bo zbyt pospolity i tabloidowy.

Jarosław Molenda: „Zwiać za wszelką cenę. Słynni uciekinierzy i emigranci z PRL”, wyd. Bellona 2017 r.

Stefan Siwiński – projektant futurystyczny

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Stefan Siwiński, lata 60.

Stefan Siwiński urodzony w 1918 roku we Wturku koło Kruszwicy, zmarły w 2009 roku w Toronto, jest jednym z pionierów nowoczesnego projektowania mebli, którzy do Kanady przyjechali z europejskim wykształceniem. Pasjonat i perfekcjonista w dążeniu do projektowania i wytwarzania wysokiej jakości współczesnych mebli, opanował wiele materiałów – drewno, metal, plastik. Jego monochromatyczne projekty rzeźbiarskie z lat 50. i 60. są godne uwagi ze względu

na łączenie materiałów przemysłowych z ręczną pracą artysty.

Stefan Siwiński po udziale w walce o wyzwolenie Europy spod okupacji hitlerowskiej i służbie w polskiej dywizji wchodzącej w skład armii kanadyjskiej oraz skończeniu studiów w Szkocji, wyemigrował do Argentyny, gdzie mieszkał przez 6 lat. W 1952 roku przeniósł się do Kanady, a już w dwa lata później jego warsztat w Toronto – *Korina Designs* zatrudniał dziesięciu rzemieślników. To małe studio stolarskie specjalizowało się w komercyjnych meblach, ale również przyjmowało zlecenia takie jak np. zrobienie w 1960 roku stołu dla współczesnego kanadyjskiego architekta Johna C. Parkina. Wówczas modernistyczni architekci tacy jak John C. Parkin oraz młody angielski architekt Peter Dickinson (w Toronto apartamenty Benvenuto Place i wieżowiec w Regent Park oraz wieża Banku CBC w Montrealu), poszukiwali projektantów mebli, którzy tworzyliby pasujące do ich wizji zewnętrznej wyposażenie wnętrza budynków. I tylko trzech torontończyków, w tym Stefan Siwiński umieścili projektowane przez siebie meble w znaczących nowoczesnych budynkach dekady lat 60. Projekty Stefana Siwińskiego wykorzystujące chromowaną prasowaną stal, harmonijnie dopasowywały się do międzynarodowego stylu współczesnych wnętrz.

Nowatorskim pomysłem było krzesło o trzech nogach, zaprojektowane w 1958 roku, ze stali, laminowanego drewna i

winylu, w kolorach brązowo-czarnych. Krytyka nazwała je hybrydą łączącą skandynawski *modern* z obrazem *pop*. Przypominające człowieka-kreskówkę wygodne miejsce do siedzenia, kupione zostało w dużych ilościach do klubu dyrektorskiego w głównym biurze Union Carbide i przez szpital Blue Cross w Toronto. To rzeźbiarskie współczesne krzesło zostało przedstawione na 13. Międzynarodowym Triennale w 1964 roku w Mediolanie i zostało nagrodzone złotym medalem.

Kolejnym meblem, które zwróciło na siebie uwagę projektantów było krzesło wypoczynkowe, zaprojektowane w 1959 roku. *Lounge 100-1*, pięknie wyważone z wielką dbałością o detale, reprezentowało pewność projektanta, który znał swoje rzemiosło. Jego trafne i wprawne oko szczególnie widoczne było w piankowo-gumowo-winylowym obiciu, które musiało być dopasowane do kształtu konstrukcji bez tworzenia widocznych szwów. Krzesło było ręcznie zszywane i poddawane działaniu ciepła. Uderzająco delikatna i cienka sylwetka krzesła ozdabiała wiele holi. Bardzo często *Lounge 100-1* było lokalnym zastępstwem *Barcelony* – klasycznego krzesła jednego z mistrzów bauhausu Ludwiga Mies van der Rohe, wystawionego po raz pierwszy w Pawilonie w Barcelonie w 1929 roku. *Lounge 100-1* przedstawione zostało w przewodniku Praegera z 1962 roku pt. „Nowe meble”. Dwa lata później Ramsey – rządowy architekt międzynarodowego lotniska w Toronto, zamówił je do lobby odlotów. Pracownicy *Korina Designs* wyprodukowali 500

krzeseł w 10 tygodni. Było to dużym wyzwaniem, gdyż krzesła były ręcznie robione. Kontrakt ten prowadził do dalszych zamówień na krzesła z York University, Toronto Dominion Bank i Art Gallery of Ontario.



Plastikowe krzesło projektu Stefana Swińskiego.

Modernistyczne projekty Stefana Siwińskiego zdobywały coraz większe uznanie, uwagę mediów i podziw innych projektantów. Forma kuli stała się wówczas utopijnym symbolem postępu i zmiany. Od elektroniki rozprzestrzeniła się do wnętrz. Stąd zainteresowaniem cieszyły się plastikowe lampki-kulki projektu

Stefana Siwińskiego. Wielki podziw wzbudziło plastikowe, przezroczyste krzesło z 1965 roku, wykorzystujące formę kuli, lekkie, przypominające bąbelek. Reyner Banham porównując plastik z futrem nazwał go naszą drugą skórą. Stefan Siwiński w tym projekcie uchwycił sedno powiedzenia Banhama. Zmysłowy obraz przezroczystego plastycznego bąbelka-krzesła, uchwycony przez torontońskiego fotografa Wima Vanerkooya, sugeruje metaforę plastiku jako nagiej skóry. Lekkość obiektu nawiązuje natomiast do lotów w kosmos i braku przyciągania ziemskiego w przestrzeni kosmicznej. Krytycy twierdzili, że projekt Stefana Siwińskiego pokazał najwyższe wyrafinowanie rzeźbiarskie. Szkoda, że krzeseł tych zostało wyprodukowanych zaledwie 20 sztuk.

Plastikowe, matowe krzesło z 1965 roku zapoczątkowało eksperymenty z plastikiem, którego wynikiem była seria półkulistych krzeseł z włókna szklanego i plexiglasu. Miały one albo podest, albo podstawę typu rury. Podczas gdy takie projekty były typowe dla tego okresu, godne uwagi jest ich wykonanie. Stefan Siwiński kontrolował cały proces produkcji, od wyjścia materiału spod wypraski aż po pokrywanie i wybijanie. Mimo, że powstało mniej niż 50 takich krzeseł, to szeroko je fotografowano. Pojawiły się w takich pismach jak „The New Jork Times” w 1967. Niekończące się dążenie do ulepszania projektów, a nie standaryzowania produkcji sprawiały, że firma Stefana Siwińskiego była w ciągłym stanie finansowej

niestabilności, ale za to meble zdobyły uwagę mediów i uznanie innych projektantów.



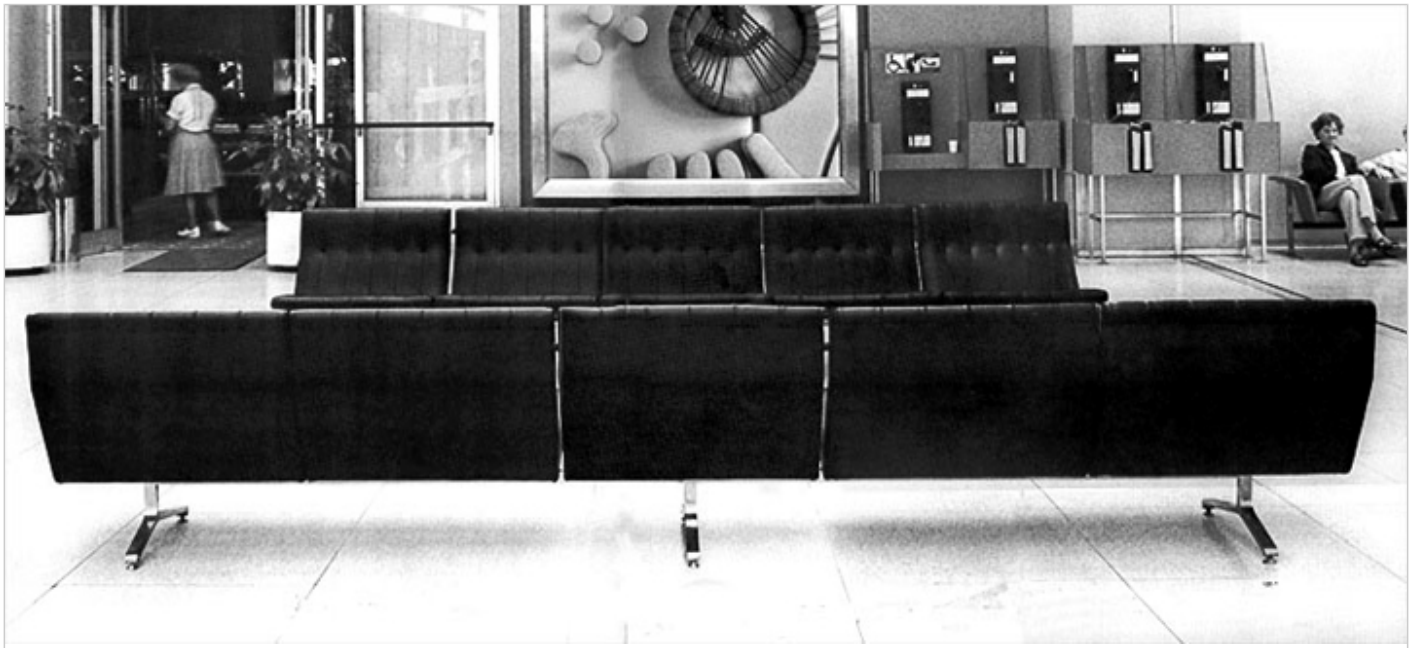
Plastikowe krzesło projektu Stefana Swińskiego.

W latach 70. i 80. Siwiński projektował meble dla stacji metra w Toronto i dla międzynarodowych lotnisk w Calgary i w Toronto. W latach 90. powstała przepiękna, kolorowa kolekcja surrealistycznych foteli pod tytułem „Adam i Ewa w raju”. Jakże te marzycielskie formy różnią się od minimalistycznego stylu lat 60., kiedy „mniej, oznaczało więcej”.

Stefana Siwińskiego niezwykle podziwiał słynny kanadyjski malarz Harold Town (1924-1990), fundator i członek grupy malarzy abstrakcyjnych „Painters Eleven” (1953-60). Malarz uważał, że mimo zapału i talentu, była to też niezwykle trudna dziedzina dla projektanta.

> Ciągły wzrost produkcji w epoce, w której żyjemy – napisał Harold Town – powoduje, że staliśmy się społeczeństwem wyrzucającym. Na skutek zaprogramowanej „koncepcji niepotrzebności” standardy wykończenia, nie tworzą obiektu trwałego. Na szczęście na świecie jest kilku upartych partyzantów z duchem kreatywności, którzy jedną ideą, jednym pomysłem próbują zwalczać nastawienie społeczeństwa do masowego i szybkiego wyrzucania. Wierzą oni, że projektowanie to nie tylko zewnętrzne dopasowanie przedmiotu do funkcji ciała, ale i wewnątrz obiektu powinno polegać na odpowiednim zespoleniu rozmaitych materiałów. Mebel nie będzie trwały jeśli klej, który spaja poszczególne elementy, szwy, które je trzymają, czy śruby, które łączą, nie są odpowiedniej siły, wagi i długości. Prawdziwe rzemiosło polega więc na połączeniu artyzmu z dokładnością wykonania, trwałością materiału i jest nieodłączną częścią wszystkich czynników, które stwarzają sztukę.
>
> Stefan Siwiński jest właśnie takim artystą i rzemieślnikiem.

> Jest rzeźbiarzem mebli, perfekcjonistą, nie akceptującym wszelkiego rodzaju „sztuczek”, ciągle odkrywającym, jak zaawansowany rozwój technologii, może być wykorzystany w materiałach stosowanych do produkcji projektowanych przez niego obiektów.
>
> Dla Stefana Siwińskiego projektowanie i wykonywanie mebli w jego fabryce, pod jego nadzorem nie jest zawodem, karierą czy sposobem na to, żeby spokojnie przejść na emeryturę. To jest powołanie, to jest całe jego życie. Posiada on to, czego wymaga sztuka – fantastyczne pożądanie robienia najlepszego. Meble Stefana Siwińskiego zalicza się do najlepszych przykładów współczesnych mebli na świecie.



Meble projektu Stefana Siwińskiego na lotnisku Pearson w Toronto.

Meble Stefana Siwińskiego trafiły do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, a także do Muzeum Cywilizacji w Ottawie, jako stała kolekcja.

Projektant otrzymał wiele nagród, m.in. złoty medal na 13. Międzynarodowym Triennale w Mediolanie w 1964 roku, nagrodę Design Counsil of Canada podczas wystawy Expo 1967, nagrodę rządu Ontario za Krzesło Roku w 1967 roku. Podczas zjazdu projektantów przemysłowych w 2001 roku rząd Kanady wydał specjalny znaczek pocztowy, na którym zostało umieszczone trójnogie krzesło, nagrodzone w Mediolanie.

Stefan Siwiński brał też udział w wielu wystawach artystycznych indywidualnych i zbiorowych, m.in. w Art Gallery w Missisaudze pt. „Adam i Ewa w raju" (wystawa indywidualna), w Art Gallery of Winnipeq pt. „Malarstwo abstrakcyjne i projektowanie w Kanadzie" (wystawa zbiorowa). W recenzji, która się ukazała po wystawie w Winnipequ w piśmie „Canadian Architect" napisano, że krzesło projektu Stefana Siwińskiego jest wyrazem epoki. Projekty Stefana Siwińskiego zostały pokazane na wystawie pt. „Made in Canada: Craft and Design in the Sixties" w Canadian Museum of Civilization w Ottawie (24 luty 2005 – 15 styczeń 2006).

Klienci Stefana Siwińskiego: Government of Canada**,** Toronto Int'l Airport, Calgary Int'l Airport, Canadian Embassy – Pakistan,

Int’l Postal Union – Berne, Switzerland, Canadian Embassy – Wellington, NZ, Government of Ontario, Art Gallery of Ontario, York University, MacMaster University, Blue Cross Hospital, Etobicoke General Hospital, Granite Club – Toronto, Union Carbide – Toronto, IBM – Toronto, Canadian Pulp & Paper Company, Toronto Dominion Bank, CIBC, Bank of Canada.

Na podstawie książki Rachel Gotlieb i Cory Golden pt. „Design in Canada since 1945: fifty years from teakettles to task chairs”, Toronto 2001 oraz artykułu Joanny Bojańczyk “Rzeźby do siedzenia”, Twój Styl, październik 1995 r.

Rozmowa ze Stefanem Siwińskim ukaże się w piątek, 28 kwietnia 2017 r.

Tłumacz wytrawny –

Karl Dedecius

Florian Śmieja



Karl Dedecius, fotografia z dedykacją dla Floriana Śmieji, arch. FŚ.

Nazwisko pochodzącego z Łodzi Karla Dedeciusa, wybitnego niemieckiego tłumacza literatury polskiej, wymienia się dziś w Polsce w gronie największych naszych przyjaciół i ambasadorów na Zachodzie. Nic więc dziwnego, że posypały się na niego nagrody, wysokie odznaczenia i honory. W czerwcu 2002 roku odebrał kolejny doktorat honoris causa w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

Ale początki jego chwalebnej drogi nie były ani proste, ani łatwe.

Było to w marcu 1958 roku, kiedy wśród listów do redagowanego wówczas przeze mnie *Mekuriusza Polskiego* znalazło się pismo z Niemieckiej Republiki Federalnej, w którym nie znany mi korespondent donosił o planowanej przez siebie antologii współczesnej poezji polskiej. Prosił o udostępnienie mu tekstów i danych biograficznych młodych polskich poetów mieszkających na Zachodzie. Pukał do różnych drzwi, ale trudno mu było zdobyć potrzebne materiały. Informował równocześnie o pośpiechu, gdyż miał napięty harmonogram wydania.

Postanowiłem na apel odpowiedzieć i bezzwłocznie wziąć się do rzeczy.

Nie zdołałem nakłonić do współpracy z niemieckim entuzjastą mieszkającego wówczas w Londynie miłośnika poezji, Józefa Jaksinskiego. Miał on pokaźną bibliotekę nowości poetyckich.

Choć go nie przekonałem, postawił do mojej dyspozycji swoje zbiory, a ja skwapliwie z nich skorzystałem. Wybrałem stos tomów, bodaj 29 i wysłałem trzy paczki do Niemiec. Jaksiński miał zastrzeżenia m.in. do pośpiechu całego przedsięwzięcia obawiając się, że owoc nie będzie najlepszy. Do wybranych tomów dodałem listę autorów z danymi bio-bibliograficznymi i wysłałem do Heilbronn Karlowi Dedeciusowi, bo tak się nazywał autor listu. Wymieniliśmy szereg listów i pocztówek dla uściślenia niektórych danych biograficznych. Nie upłynął rok, kiedy wyszła antologia *Lektion der Stille.* Była to pierwsza jaskółka, ale jak się miało wnet okazać, stanowiła ona nie tylko o wiośnie, ale o bogatym lecie nad spodziewanie urodzajnym w piękne przekłady i liczne edycje.

Te wiersze 36 poetów z Polski i z emigracji ukazały się w prestiżowym wydawnictwie Carl Hanser Verlag w Monachium przy hucznym aplauzie krytyków niemieckich. Tłumacz przysłał mi plik kilkudziesięciu (z czasem było ich dwieście) recenzji pisanych przez wybitnych pisarzy i krytyków wśród których znaleźli się Heinz Piontek, Marcel Reich-Ranicki i Karl Krolow. Podkreślali oni niezwykłość publikacji, talent tłumacza, biegłą orientację w przedmiocie, różnorodność i dobrą klasę polskich autorów. Tak zaczęła się niezwykła kariera człowieka, tytana pracy i miłośnika poezji, prelegenta i twórcy, a potem wieloletniego dyrektora Deutsches Polen Institut w Darmstadt, laureata wielu nagród, doktora honoris causa szeregu

uniwersytetów, wielkiego ambasadora polskiej literatury w Niemczech.

Od samego początku kariery tłumacza, toczącej się przez wiele lat na marginesie pracy zarobkowej, Dedecius wierzył w szanse poezji polskiej na rynku niemieckim.

> Pisemne krytyki pokazują – pisał – że na ogół technika i jakość poezji polskiej zaskoczyły wszystkich. Podkreśla się niezłomną wolę twórczą, nowoczesność sformułowań, głębię wstrząsających przeżyć. Nie brakuje głosów, które tę nową lirykę polską przyrównują do najlepszej młodej liryki niemieckiej, a niektórzy twierdzą, że jest od niej lepsza…

Niemniej urodziny tej antologii były zgoła dramatyczne. Kompilowanie tekstów wierszy i zdobywanie wiadomości biograficznych w latach pięćdziesiątych nastręczało wiele trudności, dziś zupełnie niezrozumiałych i absurdalnych. Adresaci próśb często nie odpowiadali na nie, źródła były mało dostępne, więc w efekcie przypadkowe. I tak w pewnym momencie, kiedy Dedecius chciał drukować w jakimś niemieckim czasopiśmie wybór młodych polskich poetów emigracyjnych, miał do dyspozycji jedynie kilka numerów krakowskiego czasopisma *Zebra* i teksty wierszy w tych numerach pomieszczone (m.in. Zygmunta Ławrynowicza). Posiadając tylko

bardzo skromną biblioteczkę polskich poetów, musiał prosić o przepisywanie mu na maszynie dostępnych innym tekstów (były to czasy przed kserograficzne).

Otrzymawszy moje trzy paczki z Londynu, Dedecius pokwitował ich odbiór z entuzjazmem mówiąc m.in.

> ...Gdyby Pan nie był mi przysłał książek tak szybko, wówczas nie dotrzymałbym terminu majowego a wtedy antologia nie ukazała by się na jesieni, ale dopiero na wiosnę.

Zawiadamiał przy tym, że mimo tak krótkiego terminu, pracował nad przekładami starannie i dokładnie zapewniając, że żadnego autora nie skrzywdził.

Potem jednak, nie mogąc doczekać się z Polski obiecywanych danych biograficznych, chciał sam pojechać do Warszawy, miał nawet jakieś zaproszenie, więc zaczął ubiegać się o wizę. Nawiązał kontakt z attaché kulturalnym Raczkowskim, ale mimo nieustanych zapewnień, wizy nie otrzymał, zwodzony do końca.

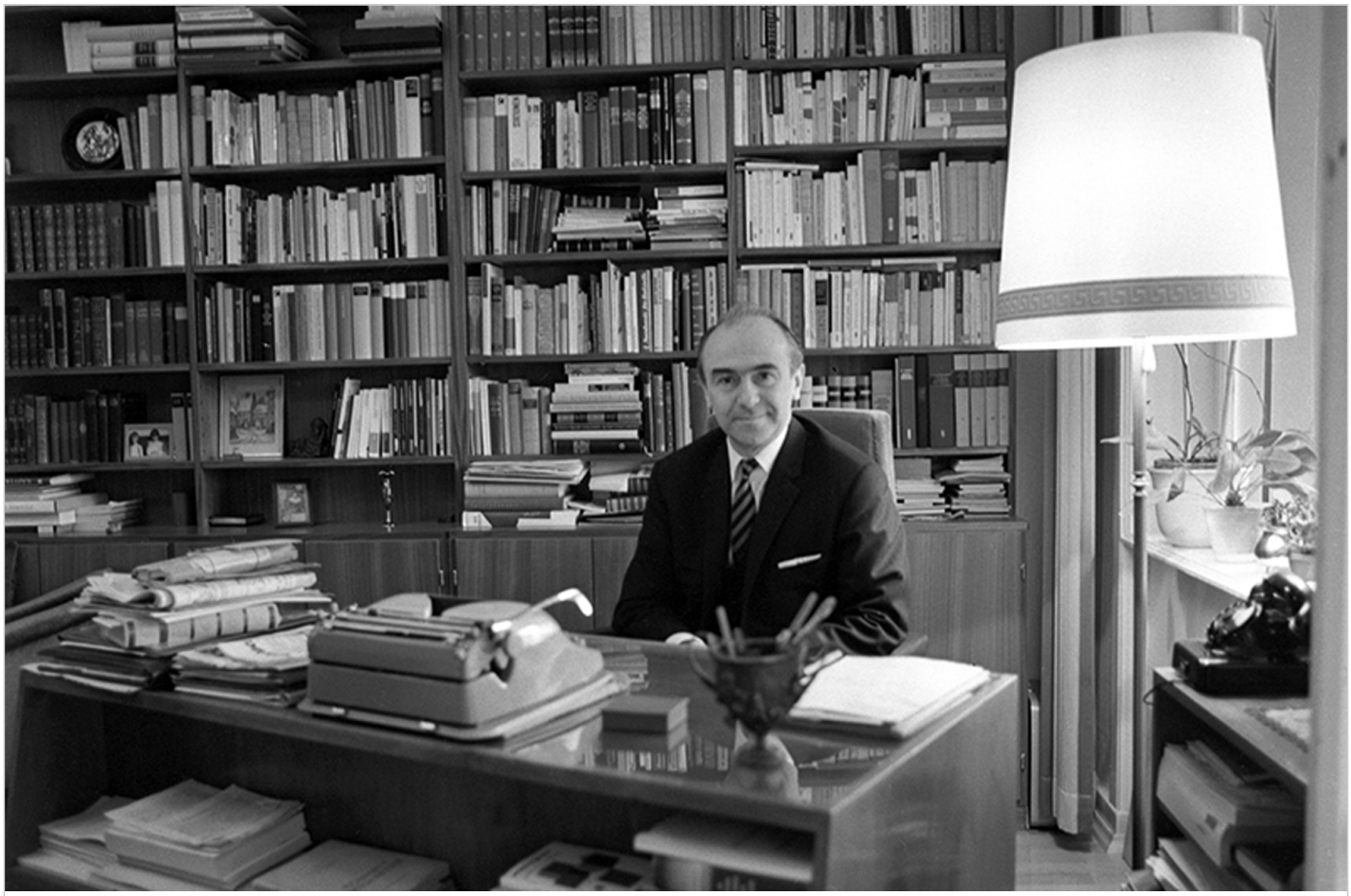
W liście z 2.7.1958 roku skarżył się zdegustowany:

> Na księżyc łatwiej pojechać, niż do tej smutnej Warszawy.

> Ponieważ troszkę honoru też posiadam, powiedziałem… dość tego, rezygnuję… Czasem aż mi przykro i żal, że wziąłem na siebie tę syzyfową pracę, która mi cały swobodny czas zabiera, dużo zdrowia i pieniędzy kosztuje…

Parę miesięcy później donosił, że

> Antologia długo już gotowa. Pedantyczne wydawnictwo czeka tylko jeszcze na te brakujące noty biograficzne z kraju.



Karl Dedecius, fot. culture.pl

Pisząc na lewo i prawo Dedecius uparcie bojował o swoją antologię. W drukarni nikt nie znał języka polskiego, rękopis wędrował tuzin razy między Monachium a Heilbronn, gdzie mieszkał, niemniej kilka błędów literowych zostało, ku zgryzocie dokładnego tłumacza. Prowadziłem z nim dialog w sprawie niektórych jego wersji niemieckich. Wyjaśniał mi swoją postawę, obiecał wyłuszczyć ją szczegółowiej w wywiadzie dla naszego pisma pod warunkiem, że przyślę serię pytań, na które obiecał odpowiedzieć. Tymczasem dzielił się swoimi obserwacjami:

> Kiedy ukazała się moja „Lektion der Stille”, pierwsza niemiecka antologia najmłodszej polskiej liryki (także pierwsza w obcym języku w ogóle), która kosztowała mnie wiele czasu i trudu i troski, gdyż trzeba było karczować puszczę, a niełatwo było dostać, przeglądać i rozszyfrować ogromu polskich wydawnictw, napisał pewien krytyk, że wybór jest „skromny w porównaniu z obfitością wydanych w Polsce nowości”. Jaki mędrzec! Odkąd to mierzy się lirykę na metry, odkąd waży się wiersze jak kartofle na worki? Myślałem, że poezja to dalekoidące zagęszczenie, koncentracja, wybór…

A przecież jedną z oczywistych przeszkód w wydaniu książki były ograniczenia nakładane przez wydawcę mało pokupnych, ryzykownych tekstów. Tłumacz w liście skarżył się na stojącego do jego dyspozycji skąpość miejsca, że miał gotowe przekłady, które do antologii nie weszły. Pominięci poeci też się upominali. Ktoś napisał mu złośliwy list.

> Nie chce nigdy więcej „niczego” ode mnie słyszeć. Ponieważ nie wkluczyłem jego wierszy. Co za zarozumiałość! Takie są smutne radości sumiennego antologa,

komentował Dedecius.

Lecz docierały również pierwsze dobre echa z Polski. W liście z radością zacytował mi wypowiedź prof. Kazimierza Wyki:

> Muszę powiedzieć, bez próżnych komplementów, że trudności, jakie Pan odczuwa i o jakich rozwiązanie prosi, dowodzą znakomitego zrozumienia poezji i ponadto trudności i wieloznaczności języka polskiego, wieloznaczności zarówno semantycznych jak obrazowych… Przekłady, o ile mogę polegać na swojej znajomości języka niemieckiego, czysto biernej i czysto szkolnej, wydają mi się bardzo piękne, udane, a przede wszystkim wierne…

Chwalił go także profesor Konrad Górski. Ponieważ jego tekst jest w języku niemieckim, przytoczę własny przekład jego wypowiedzi:

> Czytając niemiecki tekst, słyszę dobrze melodię i rytm oryginałów. To wielkie osiągnięcie. Czy to nowy przekład, czy stary? Kto to jest Karl Dedecius? Jeżeli jest to nasz współczesny, to proszę wyrazić mu moje najwyższe uznanie.

W naszej korespondencji powtarzało się zaproszenie do Niemiec, ale moje drogi tamtędy nie wiodły. Zanim do osobistego spotkania doszło, Dedecius przeprowadził się służbowo do Frankfurtu. Tam go kilka lat później odwiedziłem z rodziną, kiedy wracaliśmy z Polski samochodem. Odszukaliśmy jego biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, dla którego wówczas pracował, przekładając w wolnym czasie polską literaturę.

Pojechaliśmy razem do lokalnej restauracji na wolnym powietrzu na pieczone kurczaki i długo obiecywaną sobie rozmowę. Obiad się przeciągnął, tak że musiałem zrezygnować z odwiedzenia przejazdem Mariana Pankowskiego w Brukseli, bo do stolicy Belgii dotarliśmy dopiero późną nocą, i zdecydowali kontynuować jazdę do Ostendy na prom do Anglii.

W liście z 12.4.1960 Dedecius zawiadamiał:

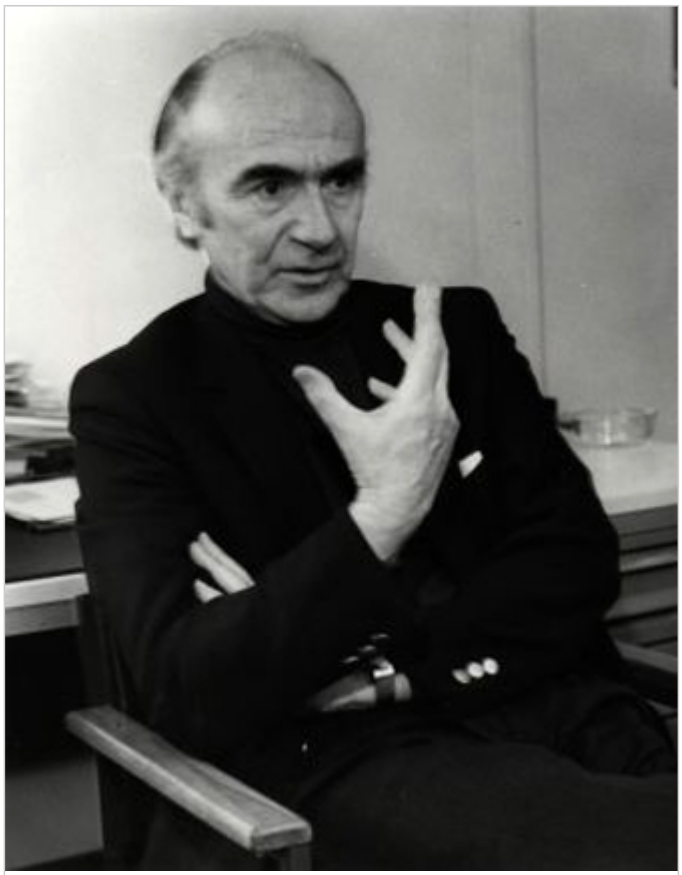
> …Zaraz po Wielkanocy ukaże się tutaj dość ładna książka, bardzo dowcipnie ilustrowana: „Myśli nieuczesane” Leca w moim przekładzie.

Był to jego największy sukces wydawniczy. Pod tytułem „Unfrisierte Gedanken” utrafiły one w smak niemieckiego czytelnika. Tłumacz zapytany potem w Polsce o wysokość nakładu, powiedział „pięćdziesiąt tysięcy”, co z niewiary czy złośliwości dziennikarza zapisano jako „piętnaście tysięcy”. Dziś nakład tych aforyzmów przekroczył pół miliona.

Kiedy sam nieco później robiłem własny wybór tych aforyzmów i przekładałem na język hiszpański, by je wydać w Meksyku, napisałem o tym Dedeciusowi. Ubawiło go to.

> Uśmiechnąłem się, mimo woli, czytając Pańskie uwagi o „Nieuczesanych” . Chyba pod sugestią Leca pisał Pan o tej maleńkiej książeczce, albowiem Lec wciąż się na mnie dąsa, że zrobiłem tak szczupły wybór, zamiast wydać grubą książkę z wszystkimi myślami. To już w charakterze każdego ojca życzenie zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Ale to nie zawsze możliwe. Po pierwsze, nie każda gra słów wychodzi w obcym języku (a przecież wiele aforyzmów Leca na tej podstawie słownej zbudowane), a po

> drugie, nie każda myśl, nowa i celna nad Wisłą, jest także samo nowa i celna gdzie indziej. …Boję się, że Lec nie miałby połowy swojego dzisiejszego sukcesu u nas, gdybym bez selekcji wziął wszystko, co on napisał. Pomijając to, że niektóre myśli, przetłumaczone na niemiecki, powtarzają nieśmiertelne mądrości wypowiedziane przed laty przez Salomona, Heinego, Goethego, Lichtenberga, Ebner-Eschenbacha, Krausa i innych aforystów. Perły ceni się tylko dlatego, ponieważ sprzedaje się je pojedynczo. Gdyby targowali nimi na rynku całymi workami – nikt by na to nie zwracał uwagi.



Karl Dedecius

W drugim liście podał mi adresy rodziny Leca oraz bogatą bibliografię lektury pomocniczej.

Miałem go następnym razem zobaczyć dopiero po latach w Warszawie. Bo tymczasem urosła jego sława i rozeszła się szeroko, a kiedy został dyrektorem Deutsches Polen Institut w Darmstadt i zaczął zapraszać pisarzy i poetów z Polski, stał się persona bardzo grata.

Na Saskiej Kępie u ambasadora Niemiec wraz ze spotkaną po drodze Ewą Lipską zastałem doborową drużynę ludzi pióra i kultury (wydawcy, pedagodzy, aktorzy) już tworzący dwa obozy, powiedzmy lojalistów i kontestatorów, która się zjechała z całej Polski, by uczcić 70 lecie pracy translatorskiej Dedeciusa. On, wysłuchawszy laudacji i koncertu fortepianowego, z przysłowiową niemiecką przezornością wręczył każdemu z obecnych gotową na tę okazję księgę pamiątkową.

Jan Darowski pisząc o “Lektion der Stille” w “Kontynentach” w 1962 roku martwił się o przyszłość fenomenu, którego nazwisko brzmiało Dedecius. Głosił on jasno i wyraźnie:

> W Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya…Nie wiem, jak mu tam ojczyzna nasza pomaga, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób…

Dziś, po tylu latach, zbawieni obaw o losy Dedeciusa, możemy spokojnie pogratulować sobie, że postawiliśmy na sukces.

Na mój wielki dzień 5 maja 2015 roku napisał list: *(wręczenie doctoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i przyjęcie orderu przyznanego przez króla Hiszpanii Filipa VI za działalność translatorską, przyp. red.).*

> Kochany Panie Florianie,
>
> nasza wspólna Alma Mater, Uniwersytet Wrocławski, postanowił Pana odznanczyć. Gratuluję Panu z całego serca tego wyróżnienia, które nas powtórnie do siebie zbliża, jak Pan widzi krąg naszych przyjaciół jest ciągle ten sam, miejsca do których podróżujemy te same. Cieszę się, że Uniwersytet Wrocławski postanowił Pana uhonorować w tak szczególny sposób. Przez moment miałem nadzieję, że uda nam się spotkać, ale jak sygnalizuje mi moja najbliższa

> współpracowniczka, pani Ilona, Pana podróż wiedzie przez Warszawę, a nie przez Frankfurt. Szkoda. Chętnie bym odświeżył naszą przyjaźń, zaprosił Pana (wraz z Córką) na odpowiednią kolację połączoną z „nocną rodaków rozmową”…

Karl Dedecius zmarł w 2016 roku.

Na jego koncie Niemcy zapisali odkrycie i przyjęcie polskiej literatury.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Zofia Reklewska-Braun *(Buffalo, USA)*

Dwór

A jaki był dwór w Mirogonowicach? Stał w bok od drogi: Ostrowiec — Waśniów — Słupia, którą jechały i zapewne nadal jadą, wszystkie wycieczki na Święty Krzyż z kierunku Ostrowca. Skręcało się z tej drogi na południe, w miejscowości Sarnia Zwola i dalej jechało kiepską, pełną kolein, wybojów i – po deszczu – błota, drogą polną, około jednego kilometra do czworaków, stawów i pierwszych zabudowań dworskich. Po prawej dominowały nad polami Góry Jeleniowskie, z Górą Witosławską niemal w prostej linii królującą od południa nad Mirogonowicami i Wronowem. Teren był pofalowany, malowniczy, urodzajny, z dobrą sandomierską rędziną i glinką lessową, o których uczyłam się potem w szkole na geografii, jako o najżyźniejszych rodzajach gleby w Polsce.



Dwór w Mirogonowicach, lata trzydzieste XX w., fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Ukryty w dużej kępie drzew i zieleni, na niewielkim wzniesieniu ponad dwoma stawami, rozdzielonymi szeroką groblą, po której przemykała wąska droga dojazdowa – „stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany, świeciły się z daleka pobielane ściany…”.

Adres pocztowy pamiętam z kopert, które lubiłam sylabizować ucząc się – bardzo wcześnie – czytać: „Dwór Mirogonowice, gmina Momina, powiat Opatów”. Dom na zewnątrz był skromny,

właściwie parterowy z przybudówkami, które znaczyły kolejne przebudowy i remonty. Nad wejściem frontowym, z dużą sienią, do której wiodły wysokie, kamienne schody, wznosiła się niewielka facjatka, będąca chyba pokoikiem gościnnym, a może składzikiem? Wnętrza dworu były piękne, zabytkowe, bogate w dzieła sztuki i rzadkiej jakości zdobienia.

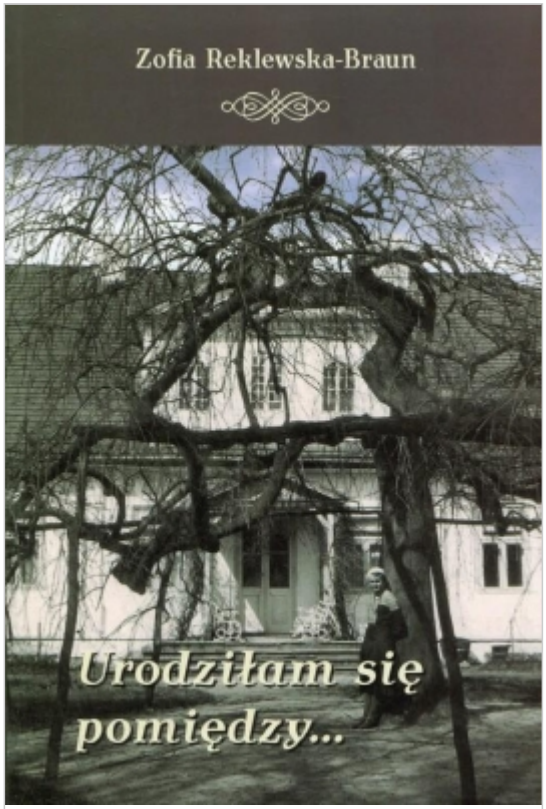
Moja pamięć zamazała już bardzo szczegóły i kształty, choć mogę jeszcze przywołać nastrój niektórych pomieszczeń. W pomoc przyszła mi dość nieoczekiwanie praca magisterska Małgorzaty Pronobis, studentki KUL-u, która, pod kierownictwem profesora Tadeusza Chrzanowskiego, napisała w 1993 roku pracę badawczą o historii domu mego dzieciństwa. Jak się okazuje należał on do najwyższej klasy zabytków sztuki polskiej.

Sama nazwa miejscowości Mirogonowice notowana jest w archiwach już w XV wieku. Wspomina ją Jan Długosz w swych *Dziejach Polski*, a że nigdy tam nie było wsi, jedynie posiadłość ziemska, można sądzić, że prehistoria dworu mirogonowskiego sięga właśnie tego okresu.

Dom, który mogę nazwać moim domem rodzinnym, był stary, zapewne z pierwszej połowy XVIII wieku, drewniany, z bali modrzewiowych, ale podpiwniczony i to właśnie podpiwniczenie świadczy o istnieniu dawniejszej budowli, która musiała stać na

tym samym miejscu. Obok domu był murowany lamus, nazywany także czasem zborem ariańskim, który historycy szacują na XVI wiek. Dwór przeszedł kilkakrotne przebudowy. Bale modrzewiowe pokryto tynkiem, a na tynk we wnętrzach naciągnięto duże panele płótna malarskiego, na których wykonane zostały polichromie o wysokiej jakości artystycznej, najpewniej w początku XIX wieku.

Także i moja Mama, przybywszy do Mirogonowic jako „Pani domu", zaraz na początku swego małżeństwa, dokonała generalnego remontu i przebudowy niektórych części, w tym całego prawego skrzydła dworu, w którym mieściły się nasze sypialnie. Mama opowiadała żartobliwie, że kazała podówczas wyrzucić kilka furmanek śmieci ze dworu i zaprowadziła nowe porządki, co nie koniecznie podobało się Ojcu.



Okładka ksiażki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun, wyd. Norbertinum 2016 r, wyd. drugie.

Z dzieciństwa pamiętam mroczność pomieszczeń, pewien brak swiatła dziennego, ponieważ okna były niewielkie i mało wpuszczały z zewnątrz światła. Wieczorem i w nocy używało się wyłącznie lamp naftowych i świec. Elektryczności nie było jeszcze wtedy w Mirogonowicach. Przypominam sobie malarstwo ścienne, zwłaszcza pewną scenę na wodzie: wąskie łodzie, rybacy, wiosła, jakieś zabudowania w tle... Zdobne piece

kaflowe, które zimą przyciągały swym ciepłem. Jeden był niezwykły — okrągły… W saloniku cieszył widokiem ognia i żarem polan, kominek… Salon i salonik, oba z fortepianami — jeden z nich był biały, tak samo jak i meble wokół niego…. Lubiłam tę białość w odróżnieniu od mroku innych pomieszczeń, których się trochę jako dziecko bałam. „Pokój turecki" intrygował dzieci niezwykłością rekwizytów, jakie go wypełniały, ale dopiero znacznie później, czytając *Trylogię* Sienkiewicza potrafiłam znaleźć doń właściwy kontekst historyczny. Na jego ścianach wisiały „szale," to znaczy wielkie jak arrasy tkaniny — czerwone, przetykane czernią. Zresztą nie pozwalano nam zbyt często do „pokoju tureckiego" wchodzić.

Biblioteka zapełniona była książkami, niedostępnymi we wczesnym dzieciństwie dla mnie, bo nie umiałam jeszcze czytać. Część z nich powędrowała z nami do Ostrowca, gdzie wiele z tych książek służyło mnie i Zygmuntowi w latach szkolnych. W Mirogonowicach czytano nam bardzo dużo głośno, no i kazano się uczyć na pamięć. Pamiętam okładkę mojej ulubionej książki *Cztery bajdy ciotki Adelajdy* i początek wiersza, który kazano mi mówić przy większym zgromadzeniu gości:

> Na marchewki imieniny,
>
> Zeszły się wszystkie jarzyny.

> A marchewka gościom rada,
>
> Takie bajdy opowiada…

Biblioteka wydawała się duża oczom dziecka i bardziej niż inne pokoje ciemna. Za to kaplica, do której się szło przez bibliotekę, musiała mieć większe okna i wraz z nimi więcej światła. Pamiętam częste wizyty z Mamą za rękę, składane w tym miejscu domu. Podczas wojny mieszkał z nami stale Ojciec Innocenty Buba, pijar z Krakowa, późniejszy prowincjał Pijarów polskich. Jego obecność umożliwiała codzienną Mszę Świętą w naszej domowej kaplicy. Jak było przed tym – nie wiem. Ale przypominam sobie też niezwykle uroczystą wizytę biskupa sandomierskiego w czasie okupacji, który dokonywał rutynowych wizyt pastoralnych we wszystkich tego typu dworskich i pałacowych kaplicach.

Od wejścia do kaplicy przykuwał oko dużych rozmiarów krucyfiks, rzeźbiony w drzewie („lipowym” – dopowiedziała mi później Mama), z niezwykle wyrazistą figurą umęczonego Chrystusa, zwisającego bezwładnie w dół, ze spojrzeniem na Maryję stojącą u podnóża krzyża. Z drugiej strony Święty Jan Ewangelista. Insygnia Męki Pańskiej ramowały krzyż od dołu i po bokach. Barokowe anioły w rogach podtrzymywały wstęgi łacińskich napisów – chyba cytatów z Pisma Świętego.



Odjazd biskupa sandomierskiego Jana Kantego Lorka, który wizytowal kaplicę w mirogonowskim dworze, prawdopodobnie w 1943 r. .Autorka wspomnień w białym kołnierzyku na rękach niani, fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Posiadał też dwór mirogonowski cały szereg innych pomieszczeń w rodzaju sypialń, kredensu, kuchni, śpiżarni, a chyba też coś w rodzaju pralni. Choć, naturalnie, nie było tam kanalizacji ani bieżącej wody.

Moja dziecinna pamięć nie umie odtworzyć planu całego dworu, jedynie pojedyncze pomieszczenia związane z określonymi wydarzeniami, które się utrwaliły we mnie mocniej niż inne.

Jedno jest dla mnie pewne, że nie był to żaden luksusowy pałac, pełen zbytku i wykwintnych, a mało praktycznych pomieszczeń. Odwrotnie, mam prawo przypuszczać, że był to bardzo zwykły, duży dom mieszkalny ludzi przyzwyczajonych do ciężkiej pracy, do wczesnego wstawania i wczesnego kładzenia się spać, ludzi związanych z ziemią i kochających całym sercem swą ziemię, i całą bogatą tradycją rodzinną. Obrazy, znaki i symbole artystyczne zdobiące ściany mirogonowskiego dworu przeniosły z wieku w wiek informację o systemie wartości duchowych i moralnych jakimi Reklewscy żyli. Nie różniły się one niczym od tego, czym w XVIII, XIX i XX wieku żył każdy uczciwy Polak: „Bóg, Honor i Ojczyzna!" A tej Ojczyzny dotykało się najbliżej i najpełniej we własnej, dobrze uprawionej ziemi.

Dwór mirogonowski uległ całkowitemu zniszczeniu po wojnie w okresie reżimu komunistycznego, kiedy to został zamieniony na siedzibę Państwowego Gospodarstwa Rolnego, w skrócie „PGR". Mimo wielokrotnych petycji ze strony różnych osób prywatnych i instytucji, państwo komunistyczne nie uczyniło nic, żeby uratować ten wysokiej klasy zabytek. Gdy zakładano skansen w Tokarni na Kielecczyźnie pojawił się pomysł, żeby nasz dwór przenieść do niego. Ale i na to już było za późno. Realne mogło być jedynie zbudowanie repliki dworu mojego dzieciństwa. Władze wojewódzkie obiecywały to wielokrotnie… Obecnie dwór jest odbudowany i mieszka tam mój brat Zygmunt Reklewski z rodziną.



Mirogonowice, stan obecny. Dwór został odbudowany przez brata Zofii Reklewskiej-Braun, Zygmunta Reklewskiego, profesora SGGW w Warszawie, który od dziesięciu lat mieszka tam z rodziną.

Ostatnia wojenna Wielkanoc

Ojciec Innocenty, pamiętam, zorganizował ostatnią wojenną Wielkanoc w Mirogonowicach. Wiadomo już było, że wojna idzie ku końcowi, że Niemcy muszą przegrać. Nikt jeszcze nie przewidywał tragicznego końca Powstania Warszawskiego, ani zagarnięcia całego kraju przez Sowiety. Dokonywała się

stopniowa koncentracja oddziałów partyzanckich. Zapewne było to przygotowanie do akcji „Burza”. Partyzanci świętokrzyscy także musieli już być w nią zaangażowani. Może zbierali się właśnie na tę wędrówkę ku stolicy, która miała stać się miejscem ostatecznej rozgrywki o Polskę prawdziwie wolną, zarówno od okupacji niemieckiej jak i sowieckiej? Przyszli do Mirogonowic świętować Święta Zmartwychwstania Pańskiego z nadzieją na najlepsze. Pamiętam te Święta.

Było już pięknie, wiosennie, ciepło. W ogrodzie, na trawniku pod starym jesionem, który Wuj Zbyszek Wasiutyński upamiętnił na Mamy ex-librisach, siedział na krzesełku Ojciec Innocenty i spowiadał. Długi szereg wychudzonych sylwetek czekał na tę okazję w wielkim skupieniu i ciszy. Nie wiem ilu i jak długo się spowiadało, ale zapewne trwało to godzinami. W tym czasie od przodu domu pojawił się Ksiądz Glibowski z Waśniowa święcić pokarmy. Długie stoły, przykryte lnianymi obrusami, pełne jakichś najprostszych produktów stały na klombie przed domem. Ksiądz Prałat szedł wzdłuż stołów z wielkim kropidłem w dłoni, z którego spadały na pokarmy i na nas rzęsiście błyszczące w słońcu krople. Święcone było nie tylko dla nas ale i dla pracowników dworskich i dla partyzantów.

A potem Msza Św. od strony ogrodu. Odprawiał Ojciec Innocenty. Ołtarz polowy ustawiony był na werandzie, a my wszyscy klęczeliśmy w trawie pod jesionem.

Klęczę i ja z moim rodzeństwem. Wszędzie dookoła nas partyzanci. Widzę przed sobą ich przetarte na wylot zelówki butów. Starte, spłowiałe koszule, prawdziwie wiatrem podszyte wiatrówki. Każda trochę inna, wiele „zdobycznych" na Niemcach. Jedność umundurowania stwarzają te właśnie dziury w zelówkach, wyblakłość tkanin i zużycie materii. Dzwonek, ministrant dzwoni na Podniesienie. Ksiądz podnosi Pana Jezusa nad głową. I cisza… Wielka nabrzmiała błaganiem cisza. Tylko ptaki w gałęziach drzew zwiastują wiosnę. Długo w skupieniu cały oddział przystępuje do Komunii Świętej na schodach ganku. Podchodzą czwórkami i klękają. Większość to bardzo młodzi chlopcy. Wielu nie ukrywa łez. Żaden nie wie czy dożyje jutra…

Można przypuszczać, że ginęli masowo w czasie akcji „Burza", idąc z pomocą Powstaniu Warszawskiemu.

Fragment książki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun „Urodziłam się pomiędzy", wyd. Norbertinum, Lublin 2016 (drugie wydanie).

Ostatnia Wieczerza

Leonardo da Vinci, Ostatnia Wieczerza.

Jan Wiktor Sienkiewicz

Kościół Santa Maria delle Grazie oraz przylegające do niego dominikańskie zabudowania klasztorne, wraz refektarzem „goszczącym” na jednej ze swoich ścian, *Ostatnią Wieczerzę* Leonarda da Vinci, powstałą w latach 1495-1497, jest właściwie pierwszym przystankiem na turystycznej mapie podróży po zabytkach stolicy Lombardii. Po niespełna dwóch godzinach lotu z Polski i czterdziestominutowej podróży specjalnym expressem z mediolańskiego lotniska Malpensa, do końcowej jego stacji Cadorna położonej w sercu Mediolanu, po trzech minutach jesteśmy już na Piazza Santa Maria delle Grazie, z którego tylko krok do arcydzieła sztuki okresu włoskiego Renesansu. Trwające nieprzerwanie, przez przeszło dwadzieścia lat, prace konserwatorskie nad *Ostatnią Wieczerzą* Leonarda da Vinci, zakończone zostały w maju 1999 roku. Od tego czasu, przez cały rok, wije się przed wejściem do zabudowań XV-wiecznego kompleksu klasztornego Santa Maria delle Grazie, niekończąca

się kolejka chętnych do zobaczenia dzieła włoskiego Mistrza. Jedynie na przełomie lutego i marca każdego roku, tuż przed wzmożonym ruchem turystycznym, który zalewa Włochy już przed Świętami Wielkiej Nocy, można, bez wcześniejszej rezerwacji, dołączyć do jednej, z limitowanych do kilkunastu osób, grup chętnych do zobaczenia *Ostatniej Wieczerzy*. Zdarza sie jednak, że w okresie turystycznego szczytu, mając wcześniej zarezerwowane miejsce w kolejce, trzeba czekać ponad sześćdziesiąt dni, na moment wejścia do mediolańskiego refektarza.



Kościół Santa Maria delle Grazie.

Ten, kto widział arcydzieło Leonarda przed laty, kiedy czekało jeszcze na swoją konserwację, bez wątpienia zastanie obecnie

dzieło inne, niż to, które zarejestrował w swojej pamięci, a które to w wielu miejscach i w różny sposób powielane i reprodukowane, przewijało się w życiu prawie każdego z nas. Spod grubych nawarstwień brudu oraz wszelkich materiałów malarskich, nanoszonych na malowidło podczas wielu wcześniejszych, zabezpieczających je zabiegów, cała jego powierzchnia, poza partiami które uległy nieodwracalnej destrukcji, odzyskała swój pierwotny, oryginalny wygląd. Przywrócenie blasku bogatej palecie barwnej kompozycji oraz oryginalnych cech jej rysunku, następowało na przestrzeni dwudziestu lat w sposób laboratoryjny, i jak podają opisy konserwatorskie, „milimetr po milimetrze, małymi odcinkami, dzieło uwalniane było od brudu i kurzu". Eksponowana, tuż przed wejściem do refektarza, fotograficzna wystawa ilustrująca kolejne etapy prac konserwatorskich, uświadamia nam, iż zasadnicza trudność w pracy zespołu konserwatorskiego polegała nie tyle na odzyskaniu właściwego dla warsztatu Leonarda da Vinci kolorytu dzieła, ile na pokonaniu trudności związanych z oczyszczeniem miliardów mikroskopijnych szczelin, którymi pokryta była cała powierzchnia ściennego malowidła, a które to szczeliny stawały się na przestrzeni stuleci siedliskiem brudu powstającego z połączenia kurzu i wszechobecnej wilgoci, tak charakterystycznej dla Lombardii, zwłaszcza w okresach jesienno-zimowych. Głównym jednak powodem, nietrwałości dzieła Leonarda i jego procesu niszczenia było odrzucenie przez artystę, techniki fresku, polegającej na malowaniu kolejnych

partii obrazu na wilgotnym tynku, i użycie tempery kładzionej bezpośrednio na tynku suchym. Ten techniczny zabieg, pozwolił na powstanie malowidła ściennego o niezwykłej delikatności i finezji jego artystycznych środków wyrazu, ale wyjątkowo nietrwałego i trudnego (co wykazały nie tylko ostatnie prace konserwatorskie), w próbie powstrzymania procesu odpadania warstwy malarskiej od powierzchni tynku. Zakończenie prac konserwatorskich nad samym malowidłem, nie oznaczało jednak końca wszelkich, zaplanowanych działań, związanych ze stworzeniem dla *Ostatniej Wieczerzy* właściwego mikroklimatu oraz zabezpieczenia malowidła przed ewentualnością jego mechanicznego uszkodzenia. W dzisiejszym świecie, pełnym eskalacji zagrożeń i psychozy niepewności otaczającego nas środowiska, nie dziwią monitorowane automatyczne wejścia, limitujące ilość osób mogących jednorazowo zwiedzając mediolański refektarz. Przechodząc przez fragment oszklonego Chiostro Grande, jednego z dziedzińców wchodzących w skład kompleksu klasztornego, każda z grup wprowadzona jest do swego rodzaju szklanej klatki wyłożonej specjalnymi wykładzinami, w której, pozostając przez chwilę zamknięta, zostaje poddana „uwolnieniu” (przez odpowiednio filtrowane powietrze) od kurzu, który od stuleci był głównym czynnikiem degradacji malowidła. Wówczas to, ponownie elektronicznie otwieranymi drzwiami, grupa zwiedzających wpuszczana jest do obszernego, wzniesionego na planie prostokąta, zamykającego od zachodniej strony kompleks klasztorny, refektarza.



Kościół Santa Maria delle Grazie.

To tutaj, między innymi, w XV wieku mediolańscy dominikanie gościli często Ludovico il Moro, wielkiego miłośnika i mecenasa sztuki, który to kościół Santa Maria delle Grazie, pragnął przekształcić na własne mauzoleum. Z jego to inicjatywy i polecenia umbryjski architekt Donato Bramante wykonał, znakomity pod względem konstrukcji jak i dekoracji zewnętrznej, korpusu absydy oraz okazałą kopułę nad prezbiterium. Tenże architekt jest również prawdopodobnie autorem zakrystii oraz najmniejszego z trzech klasztornych dziedzińców z okalającymi go krużgankami. Wnętrze świątyni, jej poszczególne nawy, kaplice jak i wiele pomieszczeń zakonnych, przylegającego do kościoła klasztoru, zdobią malowidła całej plejady mistrzów szkoły lombardzkiej. Opatrzeni z reprodukcjami *Ostatniej Wieczerzy*, już od wczesnych lat szkolnych jesteśmy przekonani,

że jest to jedyne malowidło zdobiące mediolański refektarz. Tymczasem, tuż po wejściu do jego wnętrza, naszą uwagę przykuwa również nie mniej monumentalne, a bez wątpienia bardziej dynamiczne i ekspresyjne w swoim wyrazie *Ukrzyżowanie* lombardzkiego mistrza Donato Montorfano. Fresk ten, obejmujący swoimi rozmiarami całą powierzchnię przeciwległej do *Ostatniej Wieczerzy*, krótszej ściany refektarza, jest kolejnym świadectwem i dokumentem wielkiego znawstwa i umiłowania sztuki przez Lodovico di Moro. Pośród dziesiątek postaci tworzących tłum zgromadzonych wokół *Golgoty*, bez trudu rozpoznajemy samego księcia, Beatrice d'Este i innych członków tej ważnej w historii Lombardii rodziny. Dwie dłuższe ściany refektarza, odciążone od figuratywnych przedstawień, zdobione jedynie ornamentalnymi freskami, tworzą neutralną przestrzeń i dystans pomiędzy dwoma, potężnymi, zarówno rozmiarami jak i siłą wyrazu malowidłami, które dzięki temu nie konkurują pomiędzy sobą. *Ukrzyżowanie* Donato Montorfano, tak interesujące, nasycone całym szeregiem właściwie samodzielnych przedstawień, rozgrywających się w jego poszczególnych partiach, pełne wielobarwnie ubranych postaci z epoki, ciekawie skomponowanego pejzażu i umieszczonej w nim architektury, przegrywa (chyba najbardziej przez sam fakt obecności w refektarzu) z *Ostatnią Wieczerzą*. To ona, jej magiczna siła, jej Mistrz i twórca, Leonardo da Vinci, są powodami, dla których, po raz kolejny odwracamy się plecami do *Ukrzyżowania*, by jeszcze raz, z bliska i z daleka, obserwować i

kontemplować atmosferę ostatniego, przed Ukrzyżowaniem, spotkania Chrystusa ze swoimi uczniami.



Kościół Santa Maria delle Grazie.

W refektarzu panuje cisza, nie słychać nawet dźwięków elektronicznych aparatów fotograficznych japońskich turystów. Tutaj fotografii robić nie wolno. Z tej magicznej ciszy usłyszeć można, wydobywające się – i to wyraźnie – głosy apostolskich rozmów, szelest szat ocierających się o białe nakrycie długiego stołu postawionego w poprzek wielkiej renesansowej, reprezentacyjnej komnaty. Trwa dyskusja, pełna dziwnego niepokoju. Nie słychać jeszcze trzasku łamanego chleba, nikt jeszcze nie podniósł kielicha z winem. To nastąpi za chwilę. Wracam po raz kolejny tuż pod barierkę oddzielającą malowidło

od widzów. Padające na malowidło, przefiltrowane światło, wydobywa z niego wszystkie, dotąd ukryte pod brudem, niuanse bogatej palety barwnej. Za plecami Chrystusa, w okiennych prześwitach wzgórzysty pejzaż przełamany lśniącym błękitem. Ten sam błękit, karminy i zielenie mienią się na szatach zgromadzonych na wieczerzy Dwunastu Apostołów. Znów słychać ciche rozmowy. Tym razem to nie wrażenie. Kolejna grupa zwiedzających czeka za szklanymi drzwiami na spotkanie w Wieczerniku. My, którzy przez ostatnie chwile w nim przebywaliśmy, powoli z niego wychodzimy. Tym razem jednak, w drodze do wyjścia, wygrywa *Ukrzyżowanie* Montorfano. Ono zawsze żegna opuszczających mediolański refektarz turystów. Ono mówi, iż Ukrzyżowanie jest drogą do naszego Zmartwychwstania. Szklane wyjściowe drzwi zamykają się bezszelestnie. Wracam na Via San Vittore do Collegio Ludovicianum, gdzie będę mieszkał. To tylko przecznica dalej od Santa Maria delle Grazie. Dla wielu z nich, owa bliskość to nic szczególnego. Dla mnie tak. Na stole, tak jak przed pięciuset laty, leży na białym obrusie taki sam chleb i stoi takie samo wino jakby bezpośrednio przeniesione z malowidła Leonadra. Za chwilę wszyscy będą się tym chlebem łamali. Dopiero tutaj, w ojczyźnie mediolańskiego Mistrza, istoty *Ostatniej Wieczerzy* dotyka się na co dzień, nawet bez oczekiwania w niekończącej się kolejce turystów z całego świata.